

nadodrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 21 [678]

16-29 X 1968 R.
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Dziewczyzna
z pistoletem
Kielich
gotycki
SCIENTY
mikołowe.

SZABLE
Piłsudskiego

O poezji Zdzisława
Morawskiego

NADZIEJE POLSKIE

Ryszard Rowiński

Kryzys jest wtedy, gdy bogato zaopatrzone rynek poszukuje i nie znajduje nabywcy. Nasz kryzys polega na tym, że klient poszukuje i nie znajduje towaru.

Podobno łatwiej, bo nie prostszego jak rozwinąć produkcję, uporać się z polskim kryzysem. Tylko, że my znajdujemy się w kryzysie od lat dziesięciu. Walcząc z nim, znajdujemy się w tym samym miejscu startu. Gorzej: społeczeństwo świadomie wkomponowuje się w coraz rozleglejszy pejzaż ruiny gospodarczej.

2. Godząc się na biedę, pracownicy udają, że pracują, pracodawcy, że płacą. W grze pozorów, miara naszego powodzenia jest miarka — nabycie strzykawki jednorazowego użytku, tyristora do zepsutego telewizora, przyjęcie dziecka do przedszkola, otrzymanie parówek na kartki, grzeczne obsłużenie przez fryzjera, normalne załatwienie normalnej sprawy w urzędzie, wszystko to traktujemy jako sukces.

3. Demoralizacja jednostek, całych grup społecznych jest skutkiem ubocznym sytuacji ogólnej z którą mamy do czynienia. Stajemy się społeczeństwem skorumpowanym mimo braku szacunku do krajowego pieniądza. Załatwiamy swoje sprawy korząc się przed mocnymi — tymi co coś mogą, pogardzając tymi słabymi, co nic nie mogą. Załatwiamy swoich spraw na zasadzie wymienności usług, czegoś za coś, przez uczestniczenie w układach personalnych, stają się metodą na życie w kryzysie.

4. Polityka zmierzająca do tego, by kraj szedł naprzód, nie może liczyć na powodzenie, jeśli nie ma zakotwiczenia w ludziach. Bez poparcia społecznego, nie tylko w deklaracjach i słowach, żaden, nawet najbardziej racjonalnie myślący zespół reformatorski nie osiągnie zamierzonych celów. Daleko idące kompromisy, zaprzeczające samej idei reformy, nie są sposobem pozyskiwania społeczeństwa. To taktyka na krótki dystans. Lepiej mówić z całą brutalnością, że nie można zjeść jajka bez stłuczenia skorupki.

5. W analizie obecnej sytuacji ugruntowuje się pogląd, że bez racjonalizacji struktur państwa, nie może być mowy o wyjściu z kryzysu. Odkrywane są związki między stosunkami międzyludzkimi (demokracja) a społeczną wydajnością pracy. Bez zasadniczego zwiększenia wydajności pracy nie może być postępu gospodarki. Dyskusja o funkcjach Sejmu, Rady Ministrów a działalnością partii, stronnictw, związków zawodowych, odpowiedź na pytanie o rolę osób inaczej myślących w strukturach państwa, porozumienie w tych trudnych, bo nowych kwestiach, jest jak się wydaje, kluczem do powodzenia reformy gospodarczej.

6. Otrzymaliśmy szansę, jakiej jeszcze nie mieliśmy. Po raz pierwszy w dziejach Polski socjalistycznej, inicjowanie zasadniczych, daleko idących reform gospodarczych i społecznych odbywa się w klimacie, gdzie różne, zantagonizowane siły na świecie dążą do rozkładowania konfliktów, zaś w obozie państw socjalistycznych, więc wśród naszych sojuszników, dokonuje się z różnym nasileniem proces przebudowy. Nowe myślenie elit władzy w krajach socjalistycznych, gromadzenie doświadczeń z praktyk społecznych, pozytywnie oddziałuje na bieg naszych polskich spraw. Również i my, jest to coraz bardziej widoczne, naszymi działaniami reformatorskimi oddziałujemy na to, co dzieje się w krajach sąsiedzkich, bliskich nam ideowo.

7. O jaki kształt Polski się troszczymy? Przymiotnik „socjalistyczna” jest elementem trwałym, obliczonym na egzystencję przez wiele dziesięcioleci. Bo nikt przytomny innej Polski, poza socjalistyczną nie widzi. Również wśród przeciwników socjalizmu — jeśli są realistami. Jednak przymiotnikowi temu pragniemy nadać wartość, jakiej w praktyce dotychczas nie posiadał. Ma to być socjalizm bogaty w wartości humanizmu, dający jednostce ludzkiej szansę pełnego rozwoju osobowości. Działające konflikty społeczne nie są elementem trwałym w polskim pejzażu społecznym. Są one elementem przemijającym, jeśli rzeczywiście dążyć będziemy z całą konsekwencją do budowania trwałego ładu społecznego. Dziś przygniatają nas ciężary trudnej do zniesienia codzienności. Z tymi ciężarami musimy sobie sami poradzić, bo nikt z naszych pleców ich nie zdejmie. Pojmujemy już, choć gospodarka pozostaje główną ośrodkową działalnością i naszego dramatu, że nie jest ona elementem osobnym. Postęp w dziedzinie gospodarczej nie może być izolowany od całej strefy nadbudowy wymagającej również porządkowania. Dziś w gruncie rzeczy, na drodze do Polski sprawiedliwej, nowoczesnej, silnej gospodarczo, idzie o mądre ukierunkowanie naszego zbiorowego wysiłku, o racjonalizację naszego wysiłku. Szansa na to jest.



Scena z „Tanga”. Sławomira Mroźka (Irena Wójcik i Michał Sielata). Przedstawienie jest sukcesem zielonogórskiego teatru w próg sezonu. Rec. czyt. na str. 5. Fot. CZESŁAW ŁUCIEWICZ

Plamy na słońcu

Od olimpiady w Seulu oddalaliśmy się coraz bardziej, ale nad refleksjami, które ona wywołała, nie można przejść obojętnie. Dotyczą nie tylko sportu.

Po dwu pół czy ćwierć olimpiadach wreszcie doczekaliśmy się ogólnowiatowych igrzysk, chociaż zubożonych o nieobecność sportowców Kuby i KRLD. Po trzydziestu dwu latach spotkali się na olimpiadzie sportowcy ZSRR, USA i Chin Ludowych. Jak pamiętamy w Seulu zaprezentowało się 160 państw i to był pierwszy, może największy, rekord tej olimpiady. Ostatnie igrzyska nazwano igrzyskami jedności, porozumienia, pojednania ruchu olimpijskiego, ciągle przecież targanego różnymi sprzecznościami. Nikt też nie ukrywał, że mogły się one odbyć właśnie w tym niespotykanym dotąd wymiarze dzięki oziębleniu się politycznego klimatu świata. To ozięblenie spowodowało, że kiedy ogień z Olimpu wędrował przez świat, w różnych jego miejscach przysały pożary wojen.

Seulska olimpiada była wielkim przedsięwzięciem inwestycyjnym, na które wydano 3 miliardy dolarów. To, co zbudowano, po części oglądaliśmy w TV. Olimpiadę organizują bogaci. Biedni nie mają tu nic do powiedzenia. Korea Południowa, ludnośćowo i obszaruowo niewielka, okazała się być dość zamożnym, szybko rozwijającym się, dobrze funkcjonującym państwem, chociaż nie wolnym od wielu politycznych i społecznych problemów. Pieniądz, jak powszechnie wiadomo, rodzi pieniądze. Wydatki poniesione przez Koreańczyków na olimpiadę mają się zwrócić z 270 milionowym, oczywiście licząc w dolarach, zyskiem. A wioska olimpijska już stała się komfortowym osiedlem mieszkaniowym Seulu, bo inwestowano z myślą nie tylko o szesnastodniowych igrzyskach.

Sport zawsze był oknem na świat, ale dziś okno to stało się ogromne, doświadczenie i przenośni. Olimpiada w Seulu potwierdziła to raz jeszcze. Przez olimpiadę świat, jakże często już innym oknem, spojrzął na Koreę Południową, a Korea na świat. A tego nie da się przeliczyć na żadne pieniądze. I to jest uniwersalny sens olimpiad organizowanych każdorazowo w innym kraju. Projekt olimpiad zawsze odbywanych w Atenach nie ma większych szans na spełnienie.

Igrzyska w Seulu wydaje się zamkniętą erą amatorsztwa w olimpijskim sporcie, którą niektórzy, jak się okazało bezskutecznie, usiłowali przedłużyć. Nie udało się już dłużej utrzymać sztucznego, nieprecyzyjnego podziału na amatorów i profesjonalistów. Świat, a spojrzmy na ten problem tylko od tej jednej strony, dysponując technicznymi środkami przekazu i wydając ogromne pieniądze chce oglądać sport na najwyższym poziomie, a ten mogą zapewnić tylko profesjonalści. Wielkiego wyczynu nie można dziś uprawiać amatorsko. Wielki wyczyn to profesja. Wielki wyczyn to wielkie pieniądze, które się na niego wydaje i które on przynosi. A stąd już bardzo blisko do ukrycia sensu sportu w blasku pieniądza. Sport to nie tylko zmagania z rywalem, czasem, przestrzenia, ciężarem i czymś tam jeszcze o sławę i chwałę, to często także walka o bardzo duże pieniądze, gdzie wszystkie chwytły mogą być dozwolone. Próbkę widzieliśmy w Seulu. Zwycięstwo za każdą cenę, bo i cena zwycięstwa wliczana najczęściej w dolarach była bardzo wysoka. I od tej strony przyszłym olimpiadom grozi ogromne niebezpieczeństwo. Zwycięstwem za wszelką cenę w Seulu postawiono tam, nie przestraszone się nawet najwybitniejszych sportowców, ich mecenasów i sponsorów. Ale czy na dłużej?

Olimpiada w Seulu od strony techniki, technologii, architektury zapowiedziała XXI wiek w sporcie. Oglądając w TV niektóre konkurencje odnosiliśmy wrażenie, że sportowcy i widzowie, a ci wspólnie stanowią przecież teatr sportu, są dodatkami do tego technicznego pejzażu, do tej skomplikowanej maszyny. Czułe kamery ukazywały nawet brodawki pod pachami u niektórych zawodników, które te chęłaby by je z pewnością ukryć. Sport, to dramatycznie potwierdziły seulskie igrzyska, coraz bardziej zostaje wyprowadzany z przyrody, z jego naturalnego zaplecza i przez to staje się coraz bardziej techniczny, coraz mniej ludzki.

To, oczywiście, tylko niektóre plamy na olimpijskim słońcu sportu.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Pod powyższym tytułem miesięcznik MIEJDUNARODNAJA ŻYŻN zamieścił artykuł dr Aleksieja Iziumowa i dr Andrieja Kortunowa — naukowców z Instytutu USA i Kanady Akademii Nauk ZSRR — na temat nowych uwarunkowań polityki zagranicznej ZSRR, zawierający propozycje przewidywania metod i niektórych celów działalności Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej. Oto pierwsza część publikacji z nieznacznymi skrótami.

Jaka rolę odgrywa ZSRR we współczesnym świecie? Czy nasza polityka za granicą sprzyja (i czy sprzyjała w przeszłości) realizacji tej misji? Odpowiedź na te pytania określa w znacznym stopniu zarówno ocenę przebiegu drogi, osiągnięć i błędów przeszłości, jak i podejście do wypracowania strategii na przyszłość. Nieprzypadkowo dlatego, że wymienione powyżej pytania bezpośrednio lub pośrednio zajmują jedno z najważniejszych miejsc w toczących się w kraju ostrych dyskusjach społeczno-politycznych. W dyskusji nad problemem roli ZSRR w świecie mowa zarówno o rzeczywistym jak i pożądanym usytuowaniu naszego państwa w systemie światowych powiązań gospodarczych, polityczno-dyplomatycznych, wojskowych, ideologicznych, kulturalnych i innych oraz o zmieniającym się historycznie obrazie jego działań w tym systemie.

Czy można na tej podstawie wnioskować, że sukcesy naszej działalności międzynarodowej nie miały żadnego związku z rozwojem gospodarki radzieckiej? Wydaje się, że nie. Jeśli wziąć pod uwagę okres przedwojenny, to wzrost międzynarodowego wpływu Związku Radzieckiego w niemalym stopniu był związany z dynamicznym rozwojem gospodarki radzieckiej w latach dwudziestych i trzydziestych, który dokonywał się przy tym na tle „wielkiego kryzysu” i depresji na Zachodzie. W tym okresie Związek Radziecki, niestety, jedyny raz w swojej historii, doświadczył napływu masowej „emigracji ekonomicznej” z Zachodu. Robotnicy z krajów kapitalistycznych, przede wszystkim z USA, stanowili najlepszą reklamę nowego ustroju.

W latach powojennych czynniki gospodarcze odgrywały także niemałą rolę

w zapewnieniu powodzenia działalności międzynarodowej ZSRR. Szczególnie było to charakterystyczne dla lat 50-tych, kiedy radziecka gospodarka i nauka osiągały najwyższe tempo rozwoju w okresie powojennym. W tych latach, pod wrażeniem naszych osiągnięć, na Zachodzie poczęto poważnie zastanawiać się nad możliwym zwycięstwem socjalizmu w rywalizacji gospodarczej z kapitalizmem. Zwłaszcza w USA pojawiły się prognozy, zapowiadające, że wkrótce rozpocznie się „radziecki wiek” w gospodarce światowej. Kierownictwo naszego kraju w tym okresie było uspołobione bardziej niż optymistycznie i zupełnie serio miało nadzieję „dośćgnięcia i prześcignięcia Ameryki”.

W tym czasie dynamiczny rozwój gospodarki nie mógł służyć jeszcze wystarczającym wyjaśnieniom szybkiego umocnienia się międzynarodowej pozycji ZSRR w okresie powojennym. Kraj nasz nie był bynajmniej jedynym, szybko rozwijającym się krajem świata. Wiele spośród krajów Europy Zachodniej, a także Japonia nawet w najlepszym dla nas lata pięćdziesiąt-sześcioletni wyprowadziła ZSRR również pod względem tempa wzrostu gospodarczego.

W okresie powojennym „wyprowadzając”, w porównaniu ze wzrostem potęgi gospodarczej naszego kraju, charakter sukcesów radzieckiej polityki zagranicznej, wyznaczało się oddziaływaniem takich czynników, jak dysponowanie przez ZSRR potęgą militarną, w tym posiadanie broni jądrowej, początkowo porównywalne, a następnie równe po potencjałowi przeciwnika; zdolność do wysuwania atrakcyjnych dla szerokiego mas społecznego celów i hasł; systematyczne asygnowanie na potrzeby polityki zagranicznej i wojskowej większej części dochodu narodowego, niż mogły to uczynić w warunkach pokoju rządy krajów Zachodu.

Dzięki wykorzystaniu wymienionych czynników kraj nasz potrafił aż do końca lat 70-tych przewyższać względnie słabość naszej gospodarki i prowadzić nieustającą ofensywę na polu międzynarodowego imperializmu. I tak, największe nasze zwycięstwo w pierwszych latach powojennych — utworzenie światowego systemu socjalizmu — nie było praktycznie związane z czynnikami gospodarczymi; pierwszoplanową rolę odegrały w tym wewnętrzne tendencje rozwoju krajów wschodnioeuropejskich i czynnik naszej potęgi wojskowej (zachowującej tam swoje znaczenie także do dnia dzisiejszego).

Tak samo sukcesy naszej polityki zagranicznej w krajach rozwijających się w latach 60-tych i 70-tych, tylko częściowo uwarunkowane są przykładem dynamicznego rozwoju gospodarki radzieckiej. O wiele większą rolę odegrały rozwój ruchu narodowowyzwoleńczego oraz atrakcyjności ideologii marksistowsko-leninowskiej i bezpośrednia pomoc wojskowa walczącym narodom. Tak więc, na przestrzeni swojej historii współczesnej, wykorzystując głównie po zagospodarce (wojskowe, ideologiczne i inne) czynniki jako swoiste „dźwignie”, ZSRR opierał się na dość wąskiej bazie ekonomicznej i mógł stworzyć i podtrzymywać silną i aktywną politykę zagraniczną.

Taka sytuacja nie mogła jednak utrzymywać się wiecznie. Poczynając mniej więcej od połowy lat 70-tych, w Związku Radzieckim coraz bardziej wyraźnie zaczęło spadać tempo rozwoju gospodarczego. Zahanowienie stało się tak znaczne, że po raz pierwszy tempo wzrostu gospodarki radzieckiej okazało się mniejsze niż amerykańskiej.

Zarysowujące się w latach 70-tych opóźnienie ZSRR wobec USA i innych krajów zachodnich pod względem podstawowych wskaźników rozwoju wewnętrznego osłabiło gospodarczą bazę naszej polityki zagranicznej. I — co nie mniej ważne — opóźnienie to okazało się negatywny wpływ również na nieekono-

miczne czynniki polityki zagranicznej, które wcześniej z powodzeniem kompensowały braki naszej potęgi gospodarczej. W szczególności, zastój gospodarczy i zahanowanie tempa postępu naukowo-technicznego znalazły swoje odzwierciedlenie w stanie militarnym, na co niejednokrotnie w ostatnim czasie wskazywali nasi wojskowi i o czym świadczą również oceny zachodnie. I tak, według danych ekspertów NATO, którzy nie są bynajmniej skłonni do pomniejszania radzieckiej potęgi militarnej, w połowie lat osiemdziesiątych ZSRR znajdował się na poziomie USA jedynie w 5 z 20 podstawowych dziedzin technologii wojskowej.

Nie mniej oczywisty jest wyjątkowo niesprzyjający wpływ naszych problemów gospodarczych na międzynarodowy prestiż ideologii marksistowskiej, a także na orientację i wpływy ruchu komunistycznego i narodowowyzwoleńczego za granicą. Negatywne efekty względnie niskiego tempa rozwoju gospodarki ZSRR są pogłębiane jeszcze przez to, że w warunkach współczesnych przestał oddziaływać czynnik informacyjnego „zamknięcia” społeczeństwa radzieckiego, pozwalający nam wcześniej z powodzeniem skrywać przed światem swoje słabości. Rozszerzenie kontaktów mię-

Jednakże już od początku lat 70-tych taka bezpośrednia zależność między potęgą militarną i wpływem międzynarodowym ZSRR zaczęła ewoluować w kierunku bardziej skomplikowanej współzależności. Przy całej niejednoznaczności tego procesu można z pewnością powiedzieć, że zysk polityczny z inwestycji dokonywanych w dziedzinie wojskowej zaczął się zmniejszać. Więcej, w niektórych przypadkach zwiększenie radzieckiego potencjału wojskowego zaczęło w niekorzystny sposób wpływać na pozycję ZSRR w świecie.

Stopniowo zmieniała się również obiektywna rola parytetu wojskowo-strategicznego w zapewnieniu bezpieczeństwa międzynarodowego. Jeszcze w połowie lat 70-tych wydawało się, że parytet jest i będzie prawie że wiecznym gwarantem niezawodności wojskowo-politycznego powstrzymania i stabilności w świecie. A sam parytet przy tym coraz częściej był traktowany w opracowaniach naszych naukowców i wojskowych jako zbliżona ilościowo równość strategicznych sił jądrowych ZSRR i USA, która pozwalała Związkowi Radzieckiemu zadać agresorowi ogromne straty przy każdym wariancie konfliktu jądrowego.

Jednocześnie stawało się coraz bardziej jasne, że parytet nie jest bynajmniej wieczną gwarancją bezpieczeństwa i stabilności. Sama logika rozwoju techniki wojskowej nieuchronnie prowadzi do destabilizacji sytuacji strategicznej nawet w warunkach zachowania obojętnej parytetu. Oprócz tego, w miarę wzrostu stopnia złożoności arsenałów strategicznych ZSRR i USA, gromadzenie ich nadmiernej mocy okazało się, że parytet, rozumiany jako zdolność każdej ze stron do zadania przeciwnikowi w trakcie odwetowego uderzenia niedo-puszczalnych szkód, nie jest bynajmniej tożsamy z równą ilością wszystkich rodzajów broni strategicznej. Według obliczeń specjalistów, wykorzystanie tylko 100 głowic jądrowych zniszczy prawie 60 proc. potencjału przemysłowego przeciwnika. A przecież jest to jedynie i procent radzieckiego potencjału strategicznego.

W tych warunkach powstały obiektywne przesłanki do elastyczności w rozbu-dowie określonych typów broni. Oczywiście, że Zachód a przede wszystkim rząd Reagana, zrobili wszystko co mogli, aby nie dopuścić do podobnego rozwoju wydarzeń. W ciągu ostatnich lat imperializm podejmuje uporczywe próby mające na celu jak najściślej przypięcie ZSRR do wojennych programów Zachodu. Przy czym, jak się wydaje, główny cel nie polega nawet na tym, aby osiągnąć wojskowo-strategiczną przewagę nad ZSRR i jego sojusznikami (zachodni straty nie mogą nie dostrzegać tego, że ukształtowana równowaga wojskowo-strategiczna ma ogromny margines trwałości i wątpliwe by takie próby w najbliższej przyszłości okazały się produktywnymi, ale na tym, by wyzerpać ekonomicznie Związek Radziecki poprzez bezsensowny wyścig zbrojeń, zdeformować system priorytetów ekonomicznych naszego kraju, a przez to wpłynąć na jego rozwój społeczno-polityczny.

Strategia „wyczerpania gospodarczego” nabiera szczególnego znaczenia właśnie obecnie kiedy w naszym kraju na bieżąco rozmachają się procesy przebudowy gospodarki i stosunków społecznych. Stawia się na to, aby zahamować, a jeśli się uda — to zawrócić te procesy, nie pozwolić na osiągnięcie przez nasze państwo nowych rubieży w jego rozwoju wewnętrznym. A to, z kolei, uważa się za niezbędny warunek efektywnej ofensywy na międzynarodowej pozycji ZSRR i wyparcia go na pobo-cze historii światowej.

(CDN)

Związek Radziecki w zmieniającym się świecie (I)

Atmosfera jawności i samokrytyki, jaka ukształtowała się ostatnimi laty, ujawniła nowe granice tego zagadnienia. Nieoczekiwanie dla samych siebie, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że obraz naszego kraju w wielu sprawach utracił dawną atrakcyjność. Ujawniło się wzrastające opóźnienie Związku Radzieckiego wobec innych przemysłowo-rozwiniętych krajów w dziedzinie nowoczesnej techniki, zachwiała się nasza tradycyjna ocena własnych osiągnięć w sferze gospodarczej i społecznej. Wszystkie te momenty, o których dowiedzieliśmy się szeroka światowa opinia publiczna, okazały się niekiedy szokujące dla tych, którzy przyzwyczaili się uważać nasz kraj za kraj — symbol, kraj-ideal, kraj będący modelem socjalistycznej drogi rozwoju.

Jak to już niejednokrotnie bywało w naszej historii, niektórzy spośród najgorętszych optymistów wpadli w skrajny pesymizm. Obecnie już nie tylko na Zachodzie, ale także u nas coraz głośniej rozlegają się głosy o tym, że ZSRR przekształca się w drugorzędne mocarstwo, w „rozwijający się kraj z bombą jądrową” itd. Samokrytyka przerasta w samobiczowanie, uznanie przeszłych błędów — w totalną negację przeszłych osiągnięć.

Podobnego rodzaju nihilistyczne stanowisko, wydaje się, jest nie mniej niebezpieczne niż beznamiętny optymizm minionych dziesięcioleci. Dlatego też dzisiaj, jak nigdy dotąd, staje się aktualny problem przeprowadzenia obiektywnej i kompleksowej analizy roli Związku Radzieckiego w świecie, mocnych i słabych stron naszego potencjału polityki zagranicznej. Bardzo ważne wydaje się również pytanie o to, jak, kiedy i dlaczego „fałszowaliśmy” w naszej polityce zagranicznej, akceptując te „reguły gry”, które narzucił nam i wciąż narzucają kraje imperialistyczne. Wreszcie, duże znaczenie ma wyjaśnienie, gdzie kończą się obiektywne granice radzieckich wpływów w świecie oraz ich zależność od wewnętrznego rozwoju społeczeństwa radzieckiego.

POLITYKA ZAGRANICZNA I GOSPODARKA

Dzisiaj mało dla kogo jest tajemnicą, że trudności w polityce zagranicznej, z którymi zetknęliśmy się w latach 80-tych kraje socjalistyczne w ogóle i Związek Radziecki w szczególności, są w bardzo ścisły sposób związane z utraceniem przez nie dynamiki rozwoju wewnętrznego. Właśnie na wykorzystaniu względnie go osłabienia gospodarki socjalizmu w znacznym stopniu, jeżeli nie głównie, bazują współczesne próby ofensywy Zachodu na nasze pozycje w dziedzinie wojskowej, politycznej i ideologicznej.

Nasi uczeni i praktycy, w istocie rzeczy, przez długi czas ignorowali problem zależności między gospodarką a polityką zagraniczną ZSRR. Jedną z przyczyn podobnego stosunku polegała zapewne na tym, że historia działalności zagranicznej państwa radzieckiego jak gdyby świadczyła o niewielkiej zależności naszych sukcesów w polityce zagranicznej od gospodarki. Rzeczywiście, przez 70 lat swojego istnienia Związek Radziecki ani razu nie potrafił znaleźć się blisko poziomu efektywności produkcji i poziomu życia wiodących krajów kapitalistycznych, przede wszystkim USA. Obecnie na przykład, wydajność pracy w USA jest dwa razy większa niż w ZSRR — w przemyśle i ponad 5 razy — w rolnictwie. Jednakże na przestrzeni wielu dziesięcioleci polityczny wpływ naszego kraju na arenie międzynarodowej wykazywał oczywistą tendencję wzrostową.

W tym czasie dynamiczny rozwój gospodarki nie mógł służyć jeszcze wystarczającym wyjaśnieniom szybkiego umocnienia się międzynarodowej pozycji ZSRR w okresie powojennym. Kraj nasz nie był bynajmniej jedynym, szybko rozwijającym się krajem świata. Wiele spośród krajów Europy Zachodniej, a także Japonia nawet w najlepszym dla nas lata pięćdziesiąt-sześcioletni wyprowadziła ZSRR również pod względem tempa wzrostu gospodarczego.

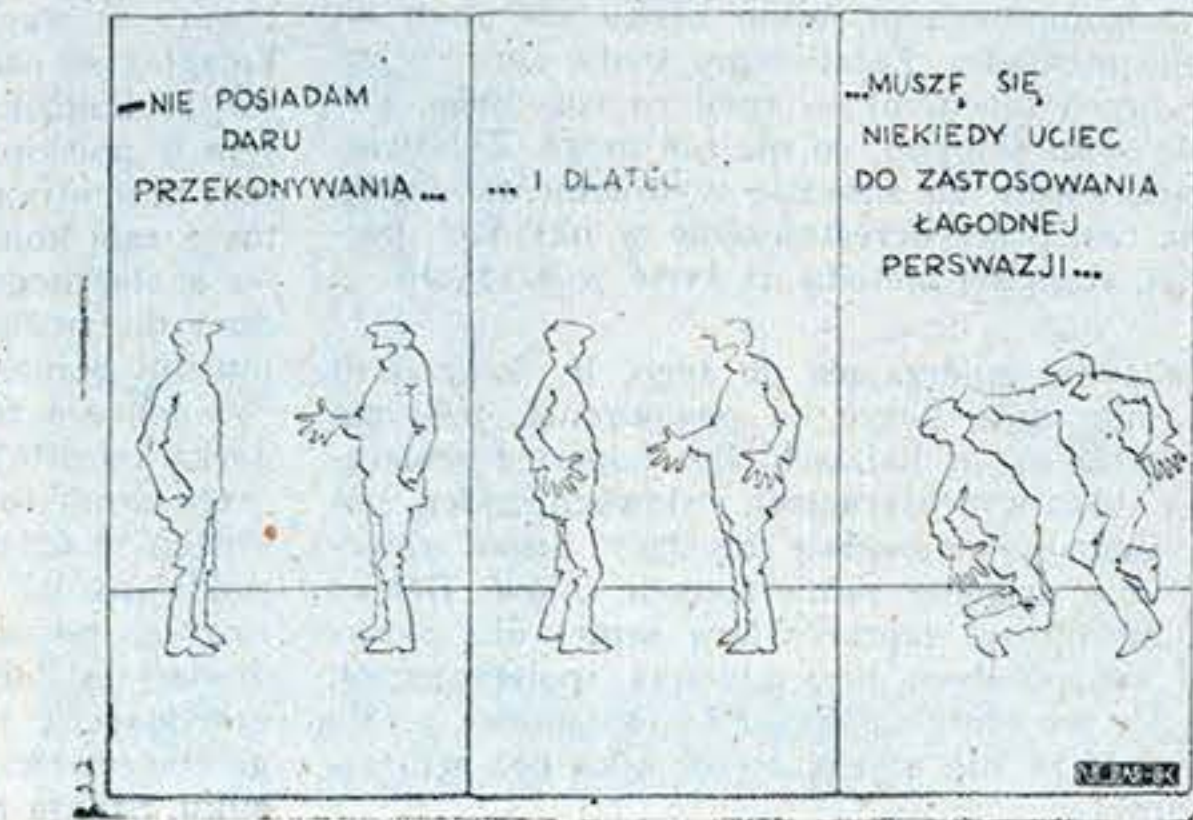
W okresie powojennym „wyprowadzając”, w porównaniu ze wzrostem potęgi gospodarczej naszego kraju, charakter sukcesów radzieckiej polityki zagranicznej, wyznaczało się oddziaływaniem takich czynników, jak dysponowanie przez ZSRR potęgą militarną, w tym posiadanie broni jądrowej, początkowo porównywalne, a następnie równe po potencjałowi przeciwnika; zdolność do wysuwania atrakcyjnych dla szerokiego mas społecznego celów i hasł; systematyczne asygnowanie na potrzeby polityki zagranicznej i wojskowej większej części dochodu narodowego, niż mogły to uczynić w warunkach pokoju rządy krajów Zachodu.

Dzięki wykorzystaniu wymienionych czynników kraj nasz potrafił aż do końca lat 70-tych przewyższać względnie słabość naszej gospodarki i prowadzić nieustającą ofensywę na polu międzynarodowego imperializmu. I tak, największe nasze zwycięstwo w pierwszych latach powojennych — utworzenie światowego systemu socjalizmu — nie było praktycznie związane z czynnikami gospodarczymi; pierwszoplanową rolę odegrały w tym wewnętrzne tendencje rozwoju krajów wschodnioeuropejskich i czynnik naszej potęgi wojskowej (zachowującej tam swoje znaczenie także do dnia dzisiejszego).

Tak samo sukcesy naszej polityki zagranicznej w krajach rozwijających się w latach 60-tych i 70-tych, tylko częściowo uwarunkowane są przykładem dynamicznego rozwoju gospodarki radzieckiej. O wiele większą rolę odegrały rozwój ruchu narodowowyzwoleńczego oraz atrakcyjności ideologii marksistowsko-leninowskiej i bezpośrednia pomoc wojskowa walczącym narodom. Tak więc, na przestrzeni swojej historii współczesnej, wykorzystując głównie po zagospodarce (wojskowe, ideologiczne i inne) czynniki jako swoiste „dźwignie”, ZSRR opierał się na dość wąskiej bazie ekonomicznej i mógł stworzyć i podtrzymywać silną i aktywną politykę zagraniczną.

Taka sytuacja nie mogła jednak utrzymywać się wiecznie. Poczynając mniej więcej od połowy lat 70-tych, w Związku Radzieckim coraz bardziej wyraźnie zaczęło spadać tempo rozwoju gospodarczego. Zahanowienie stało się tak znaczne, że po raz pierwszy tempo wzrostu gospodarki radzieckiej okazało się mniejsze niż amerykańskiej.

Zarysowujące się w latach 70-tych opóźnienie ZSRR wobec USA i innych krajów zachodnich pod względem podstawowych wskaźników rozwoju wewnętrznego osłabiło gospodarczą bazę naszej polityki zagranicznej. I — co nie mniej ważne — opóźnienie to okazało się negatywny wpływ również na nieekono-



rys. Miroslaw Nowak

OCZY ZIELONE, WŁOSY BLOND. WYMIARY: 175-66-90. WIEK 29 LAT. ZNAK ZODIAKU: RYBY. WYKSZTAŁCENIE: MAGISTER INŻYNIER SANITARNY. MEZATKA. CORKA JUSTYNKA LAT SIEDZIE. ZNAK SZCZEGÓLNY: WYTRWAŁOŚĆ. JULITA MACUR.

O tym, że nie pojedzie do Seulu, dowiedziała się z prasy. Starła się zachować spokój. Czy płakała? Tak. Wtedy, gdy ją napuszczali.

Mówili: to świnstwo, skandal, po prostu rzecz karygodna, abyś ty, taka mistrzyni, medalistka, olimpijka, w takiej formie...

Myślała: chyba nie ona jedna? Chyba więcej jest takich, którzy zaszli na olimpiadę i do ostatka myśleli, że pojadą?

„Przegląd Sportowy” wydrukował skład reprezentacji. Przeczytała nazwiska. Tak, to jasne, że wybór przebiegał według różnych kryteriów. Gimnastyczka, która coś zdobyła, ale jeszcze w 1980 roku... Jeździec, przy którym nie

ma pomaga. Daje odrobinę potrzebnej zawodnikowi emocji. Tego, co w innych dyscyplinach przychodzi z zewnątrz samo — na ringu, kortach, bieżniach, stadiach.

Reka przyzwyczaiła się do ciężaru. Ile waży pistolet? Tylko kilogram? Właśnie — tylko. A spróbujcie unieść kilogram czegośkolwiek i trzymać przy wyprostowanym ramieniu przez pół godziny! Tyle przeciętnie trwa czas strzelania na zawodach.

Dobrze choć, że do strzelania z pistoletu nie musi się wkladać panczerza, jak to jest w przypadku karabinierów. Ich stroje sportowe mają specjalne uszytowania. Ale też karabin waży pięciokrotnie więcej, niż pistolet.

Obuwie na płaskim obcasie stroj lekki, niekrępujący, najlepiej z bawełny. Na głowie pasek z daszkiem, okulary.



FOT. CZESŁAW LUNIEWICZ

ma nic, tylko imię konia... Zawodniczka, która na mistrzostwach Europy w Norwegii była 22-ga... A więc nie tylko najlepsza.

Miała trzynaście lat, gdy po raz pierwszy wzięła do ręki pistolet. Na strzelnicę zabrala ją starsza siostra, która już wtedy strzelała.

Bardzo jej się tam spodobało. Było jak w westernie. Miało posmak przygody. Unosiła pistolet w wyprostowanej ręce i wydawało się jej, że znajduje się na ekranie, w środku filmu o Dzikim Zachodzie.

Na początku oczywiście nie myślała o żadnych wyczynach. Nawet jej to nie przyszło do głowy. Zamówiła się lekkoatletyka, piłka jak to w szkole.

Po dwóch latach okazało się, że strzela lepiej od innych. Chwalił ją trener Janusz Warvch.

W 1973 roku poleciała na swą pierwszą w życiu ogólnopolską spartakiadę do Krakowa — i wróciła triumfalnie, ze srebrnym medalem. Ten medal ozna- czał wicemistrzostwo kraju w kategorii juniorek. Było to piętnaście lat temu, nie do wiary, jak przeleciał ten czas!

Nie lubi wspomnień. Jeszcze — nie. Może dlatego że dzień dzisiejszy spada na nią masą obowiązków. Wyprawić córkę do szkoły. Po południu pojeździć na aerobik — to jedne, co mogą w sporcie robić razem.

No i trening, strzelanie. Trzy, cztery godziny dziennie!

Ktoś powie: cóż za sprawa, wziąć pistolet i pukać sobie do celu. Kto, tak mówi, niech sam spróbuje. Złożyć okulary, przyjąć odpowiednią porcję całego ciała, naprężyć ramie, wycelować wzrokiem, skupić się, odłączyć od reszty świata. Mierzyć i strzelać, cały czas w pozycji stojącej.

Spicie? Nie, nie bywa spała na zawodach. Osiągnięcia umiejętność rozluźniania się. Jest skoncentrowana, a to różnica. Ma trenować i lubi ją mieć. Tre-

Jej się udało. Zdobyła dres i buty Adidas.

Nie łatwo jest żyć pod stałym napięciem. Pod naporem krytyki, konkurencji. Ze świadomością nieustannego podnoszenia się poprzeczki. Z ambicją, by poderwać się do lotu i poszybować wyżej. A w najgorszym razie utrzymać dotychczasową wysokość lotu.

Tymczasem nie zawsze jest się w formie. Fizycznej, psychicznej. W strzele- ctwie, jak w żadnej innej dyscyplinie, nie tyle fizyczna, co psychiczna kondycja decyduje o powodzeniu.

Bokser zagrzewa się i zbiera w sobie, w trakcie walki, od razu, na gorąco. Od pierwszej chwili wie, kogo ma za przeciwnika. Od razu widzi, kto ma klasę, kto jest silniejszy, kto i w swoim stylu zwycięża.

To samo w zapasnictwie, tenisie. Także pływak wyciągając siły, ma rywala obok siebie. Podobnie jest w zawodach zespo- lowych — w koszu, siatkówce, futbolu. Zachowanie się przeciwnika, reakcja widowni, okrzyki, oklaski — wszystko to dopinguje i zagrzewa.

Sport jest teatrem! Można przegrać, i równocześnie dostać oklaski!

Strzelec nie ma takich szans. I tego wszystkiego nie doznaje. Zdany jest sam na siebie. Walczy samotnie, w wy- tworzonej wokół siebie kłębie chłodnej koncentracji i spokoju. Nie widzi ry- wali. Nie widzi publiczności. Doping mu si wzbudzić w sobie sam.

Strzelectwo dziwny sport. Jednego dnia ramie ciężkie, bola oczy, drętwie ręka. Mierzy się jak zawsze, a strzela obok. Pech. Jeśli zdarzy się to na zawo- dach, można się zalać. Prasa nazwa- łaby pisze: — to słaby zawodnik.

Tymczasem już jutro albo za pa- rę dni, coś się w człowieku odmienia. Koncentracja przychodzi szybko i ogar- nia bez reszty, dając upragnioną psy- chiczną zwarcie. I leży trafienia w dziesiątkę!

Potrzebna jest więc odporność, by przetrwać zły czas, zwyciężyć pech i własne słabości. Nie zniechęcić się

i podnieść na nowo po doznanych poraż- kach. Potrzebne są optymizm i wytrwa- łość. Wiara w zwycięstwo i we własne siły.

Taka jest. Wszystkie te cechy posiada. Jaka jeszcze?

Zastanawia się... Jest tolerancyjna dla ludzi. Krótka pamięta urazy. Nie oddaje ciosów. Przebacza.

Rozmawiała na te tematy kiedyś — przed laty, z doświadczoną już sport- smenką Ireną Młotkowską, zawodniczką z sukcesami na miarę świata. Pierw- szą, jak to się mówi — przyjaciółką z pracy...

Czy w ogóle możliwe są przyjaźnie między potencjalnymi rywalkami? Tak. Przyjaźni się z Dorotą Bidołach. Przed wyjazdem na olimpiadę wypadły imie- niny Doroty. Wybrała się do niej na imieninową kawę.

Nie ma za złe koleżance, że tamtą wy- brano do reprezentacji. Należało się jej. Była dobra.

I jest dobra! Dziesiąte olimpijskie miejsce w pistolecie sportowym, to jest coś!

Gratulacje Julity nie mają nawet jej dziesiątej punkta zawisli.

Jest dla sportowców szczepionką, spoko- jem, ukojeniem. W niej i z nią prze- żywa się radości i smutki. Powroty z tarczy na tarczy. Ale jest również ob- ciążeniem! Zwłaszcza dla kobiety.

Zdarzają się przypadki pełnej harmo- nii. Takim przypadkiem wydają się Szewiński. Ona światowa gwiazda spor- tu, on trener. Pracują nawzajem na siebie i dla siebie. Razem wyleżdżają, razem przeżywają.

Cóż takiego bywa rzadko. Każdy spor- towiec, to indywidualista. Zwłaszcza strzelec, wszak strzelectwo jest spor- tem wybitnie indywidualnym.

Życie na walizkach.

Czas, który normalnie kobieta poświę- ca domowi, zajmują wyjazdy. Kiedy akurat ma się ochotę na urlop z córeczką, wypadają zawody.

Tego lata udało się jej spędzić dwa tygodnie z Justynką nad morzem.

Dobrze, że kilka ulic dalej mieszka mama, pani Róża Kałasa. Bez jej pomocy, bez pomocy kochających siostr, o karie- rze mogłaby tylko marzyć.

Co to jest kariera? Talent, praca plus szczęście. Albo inaczej: to bukiet róż z kolcami.

ni, ciężki wysiłek. Za stresy, niepewno- ci, zwątpienia.

Człowiek, który osiągnie sukces i sła- wę, który zrobi karierę, jest stawiany innym za wzór. Czy inni pytają, jak to się stało? Jak przyszło? Co trzeba ro- bić, by uzyskać te dobra?

Raczej... nie pytają. Była kiedyś na spotkaniu w swojej budowlance. Młod- dzież siedziała ospale. Nastroj był sen- ny. Mało pytań. Nikie zainteresowanie sportem — w ogóle, strzelectwem w szczególności, czy może jej osoba?

Czuła się zawiedziona, nawet urazo- na.

Takie spotkania są ryzykowne. Lepiej wypadło inne, z młodzieżą w Słupsku...

Będąc w ósmej klasie, myślała poważ- nie o koszykówce. Wzięło się to stąd, że nagle, w piorunującym tempie za- częła rosnąć — i w krótkim czasie przy- było jej jedenaście centymetrów!

Wybrała strzelectwo.

Strzelcy, zwłaszcza kobiety, kończą- czone życie sportowe, miewają często coś z kregosłupem, czasem ze wzro- kiem, barkiem, głową.

DZIEWCZYNA Z PISTOLETEM

Halina Ańska

Wie, czuje, a trener Mieczysław Ku- biak to potwierdza, że jej wyniki nie byłyby gorsze. Gdyby poleciała...

Mogły przecież lechać obie!

Międzynarodowa Federacja Strzelec- ka wspólnie z organizatorami olimpia- dy w Seulu, mając na uwadze przepus- towość strzelnic, wyznaczyła polskiej ek- kipie dziesięć miejsc. Wykorzystanych zostało tylko sześć. Cztery pozostały wol- ne.

Dlaczego na jednym z nich nie znalaz- ła się Julita Macur — która wymagane olimpijskie kółka zdobyła już wiosną 1987 roku — gdy w Monachium wygra- ła Puchar Świata?

Normom wskaźnikowym stało się za- dość. Było prawie tak, jakby w kres- szeniu miało się już bilet do Seulu.

Strzelec, aby znaleźć się w ekipie, mu- siał w ciągu dwóch lat poprzedzających olimpiadę, wykazać się odpowiednio wy- sokimi wynikami. Zaliczyć od pierwsze- go do ósmego miejsca na mistrzostwach świata lub od pierwszego do piątego na mistrzostwach Europy — albo wy- grać Puchar Świata — jak Julita.

Była ósma na mistrzostwach świata, siódma na mistrzostwach Europy.

A więc — dlaczego? Kto odpowie na to pytanie: Polski Związek Strzelecki, Polski Komitet Olimpijski? A może zstępujący minister Kwaśniewski?...

Dla ambitnego zawodnika tej klasy, to dramat.

Ukończyła Technikum Budowlane. Przyniosła do domu świadectwo z czer- wonym paskiem i kilka pomysłów — co dalej?

Wybrała inżynierię sanitarną w Wyż- szej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Gó- rze. Jest więc jak mówi, specjalistką „od rur”.

W swoim zawodzie nie pracowała do- tychczas ani dnia. Ale interesuje się. Sprawdza, czy pamięta. Może kiedyś się przydadzą — ten dyplom i ta wiedza?

Wiedzy nigdy dość, i nigdy za późno. Pilnie uczy się języków. Swobodnie mó- wi po angielsku. Porozumie się z Cze- chami, Niemcami, Rosjanami. Córkę też posyła na angielski.

Sam sport jest szkołą. Czego uczy? Umiejętności walki. Umiejętności zwycię- żania — i przegrywania. Doceniania innych ludzi, i siebie. To wielka sztuka, sztuka życia.

Kończy roczne studia trenerskie na Wrocławskiej AWF na wszelki wypa- dek...

Na Zachodzie o sporcie zawodowym mówi się wprost. U nas temat ten cią- gnie wstydlivy. Zawodnik obciążony tre- ningami i wyjazdami na zawody, nie ma kiedy normalnie pracować, jak in- ni. Sport wyczynowy to nie hobby, któ- re można uprawiać na marginesie co- dziennego życia, lecz wromny wysiłek. Po kilku godzinach treningu człowiek czasem pada. A trenować trzeba.

Stypendia sportowe traktowane są wciąż jak łaska pańska. Sportowcy kla- sy międzynarodowej otrzymywali do niedawna 27 tysięcy miesięcznie. Za du- żo by sport rzucić i zająć się zarabian- niem pieniędzy w swoim zawodzie. Za- mało, by wystarczyć na zaspokojenie niezbędnych potrzeb.

Od stycznia br. stypendium podnie- siono do 60 tysięcy. Już jakos można żyć, nie myśleć o niezapłaconym czyn- szu czy bucikach dla dziecka.

Rodzina.

Czy chciała odejść? Nie, nie było ta- kiej chwili. Teraz także nie. Zacznie ze- by i będzie trenować dalej. Do siód- mych potów. Do zawrotu głowy. Do zdrętwienia ręki. Musi utrzymać formę do olimpiady w Barcelonie.

Nie ma szczęścia do olimpiad. W 1983 roku wzięła urlop dziekański, trenowa- ła, przygotowywała się do wyjazdu pol- skiej ekipy, jak wiadomo, nie doszło.

Ma szczęście do trenerów. Po Januszu Warvchu przeszła na krótko pod opie- kę Mieczysława Kubiaka, a następnie Stanisława Pinczewskiego. Po jego odej- ściu w 1977 roku rozpoczął się długolet- ni, trwający do dziś, okres pracy pod kierunkiem trenera Kubiaka.

O swoim trenerze mówi, że jest to człowiek mądry i wyrozumiały. Praca trenera klasy pierwszej to nie sielanka. To walka o zawodników, miejsca, wyjazdy. Ciągły wir. Trzeba umieć się w tym znaleźć, zachować właściwą ocenę ludzi, rdatzeń, sytuacji.

Takich ludzi, jak trener Kubiak, nie spotkała zbyt wielu w swym, krótkim jeszcze, życiu.

Trener powiedział o niej, jest młoda, nie załamie się, i tak będzie!

Sukces i sława tylko czasem przycho- dzą nieoczekiwanie. Jeden strzał, w dziesiątkę — i mówi o tobie cały świat. Częściej są nagrody za długolet-

Nie dostała reza. Nie jest garbata, ani krzywa. Rankiem budzi się pogod- na. W radiu szuka muzyki melodyjnej. Ubierając się, sięga po kolory zdecydo- wane. Zawierając przyjaźnie, upatruje w ludziach szczeroci i życzliwosci. Ta- ka jest.

Jej ulubiona przypowieść o królu Dawidzie. Zdarzyło się, że królowi Da- widowi zachorował syn. Król padł na kolana i błagał Jehowę, aby ten przywró- cił synowi zdrowie. Ale syn umarł. Wie- dy król Dawid postanowił zrobić kawał Bogu i przestał myśleć o swym nie- szczęściu.

Tak też robi ona. Nie będzie więcej myśleć o Seulu i swoim rozczarowaniu. To, co się stało, nie odstanie. Koniec z tym Ani jedne! 147.

Ma nazwisko kilkadziesiąt medali. Zy- cie choć brutalne, piękne jest. Już samo to, że można się odbić od wczorajszego dnia, czyż nie jest fascynujące? Odbić się, odłączyć i myśleć tylko o tym, co przyniesie jutro.

Olimpiada odbywała się w Korei. Po- ludniowej. A ona jeszcze tej jesieni po- jedzie do Korei Półn. cnej. Do Phenia- nu. Na zawody strzeleckie krajów obo- zu socjalistycznego.



FOT. B. BUGIEL

Rakiety typu pershing nawet w czasie pokoju stanowią wielkie niebezpieczeństwo. Wprawdzie mało prawdopodobne jest, że ktoś zważy się na ucieczkę z nich. Ale gdyby ludzie wiedzieli, jak my na co dzień obchodzimy się z rakietami, każdy mieszkaniec Europy żyłby w śmiertelnym strachu.

Podam przykład. Podczas demontażu głowicy i ponownym jej montażu wymaga gwałtownego pospiechu. Każdy wie, że im szybciej się coś robi, tym wcześniej pójdzie się do domu. Pracuje się wtedy szybko, ale niebezpiecznie. Do takich czynności jak demontaż i montaż potrzeba w zasadzie dwumastu ludzi. Często wykonywałem to jedynie z trzema kolegami.

A przecież przy pospiechu i braku dostatecznego zabezpieczenia zwiększa się ryzyko, że głowica upadnie, otworzy się.

Zdarzały się wypadki, lecz są zazwyczaj starannie tuszowane. Na przykład bywa, że rakiety łączone są po ziemi. Przeciętny żołnierz czuje się przy tym całkiem normalnie i bezpiecznie, ponieważ nie rozumie, jak to działa. Nie zdaje sobie sprawy z ryzyka. Widziałem, jak moi koledzy grali w piłkę nożną i odbijali ją od głowicy rakietowej!

Dzieje się tak dlatego, że wśród żołnierzy wielu jest analfabetów i nieuków, którzy po prostu nie wiedzą, co robią. Niczego nie czytają, nie ich nie interesuje i nie mają nawet pojęcia, co się dzieje w Europie. Ich świat, to kosmos, z którego rzadko wychodzą, ponieważ nikomu tu nie znają. Ewentualnie trząs bary w Heilbronn, do których ma ja wstęp. Można tam kupić narkotyki, upić się i dać wciągnąć w awanturę.

Kiedy zdarza się wypadek podczas obsługi rakiet, powodem nie jest „błąd techniczny” — jak to ujmuje oficjalne sprawozdanie śledcze, ale fakt, że żołnierz był pijany, przemęczony lub nępany, albo wszystko to razem, do czego zresztą on sam nigdy się nie przyznaje.

Byłem świadkiem, kiedy w lutym 1981 r. koło Stuttgartu, w pobliżu pershinga 1-A, stanęła w ogniu ciężarówka z powodu eksplozji silnika. Jeśli zapaliłaby się rakietka, doszłoby do poważnego skażenia!

Żaden z oficerów nie wie, co dzieje się w bazie po godzinie 17 aż do następnego dnia rano, ponieważ wszyscy wyszli rano, jadąc do swoich mieszkań, poza terenem jednostki. Na stu żołnierzy przynajmniej trzydziestu

Sierżant Mark A. Lane w latach 1975-1987 stacjonował w amerykańskiej bazie rakiet atomowych, koło Mutlangen, Schwabisch Gmünd i Heilbronn w RFN. Te historie opowiedział dziennikarzowi miejscnika „Wiener”.

SLUZYLEM PRZY PERSHINGACH

kazdego wieczora jest pijanych, a następną trzydziestką połączoną od narkotyków. Około dwudziestu pełni war-
tę. Reszta siedzi cicho, bo pozostało im niewiele do ukończenia służby i nie chcą nic przeszkadzać. O biatykach, a te zdarzają się często, nikt nie może się dowiedzieć, chyba że są poważnie ranni.

Sierżanci i oficerowie też nie są świętymi. Pierwsi upijają się regularnie. Drugi mają dostęp do narkotyków high-society, czyli kokainy. Handlarzami narkotyków są sami żołnierze. W końcu to żaden problem skoczyć samolotem na dzień do Amsterdamu i kupić co trzeba.

Kiedy przyjechałem do RFN i po raz pierwszy przekroczyłem granicę, każdy, na kogo tylko się natknąłem, pytał mnie o narkotyki. Nie mam pomieszczenia, w którym czegoś by nie było. Kiedy braknie mocniejszych środków, pali się haszysz. Człowiek od pierwszego dnia służby uczy się przemilczać pewne rzeczy...

Na którymś z porannych alarmów pilany kierowca zgłosił się do sierżanta, wskazując na swój stan. Mimo to otrzymał rozkaz jazdy. Spowodował wówczas poważną krakę, w której jedna osoba została zabita i uszkodzono trzy wozy prywatne. Otrzymał karę 15 lat więzienia. Nikt nie słuchał jego tłumaczeń, a sierżant wszystkim zaprzeczył.

Podczas nocnych alarmów widać zgrę pijanych, wygłupiających się face-

tów. Na jednym z ćwiczeń w Schwabisch Gmünd, o godz. 11 w nocy, na trzydziestu żołnierzy z wachty, dwudziestu dziewczęciu było pijanych. Pijanym kierowcom kazano stadać za kierownicą wozów, na których znajdowały się rakietki pershing!

Baza w Heilbronn liczy około 1500 żołnierzy. Z tej liczby dziewczętuś tyle w koszarach. Mieszkają po czterech lub pięciu w pokojach dawno nieodnawianych, w których farba i tynk odpadają ze ścian, a zima rzadko funkcjonuje ogrzewanie. Warunki życia tutaj są fatalne.

Żołnierze boją się bardziej swych oficerów i sierżantów, niż ewentualnego wroga. Jeden nienawidzi drugiego. Mało jest przyjaźni. Zdarzają się problemy rasowe. Na poligonie broni stawiają namioty po prawej stronie baterii, koloru wi po lewej. Zdarza się, że nieznana ręką stawia w nocy krzyż i podpala go, jak Ku-Klux-Klan.

Nastroje docierające z zewnątrz, podnoszą nerwową atmosferę. Np. mówi się żołnierzom, że z powodu demonstracji, którą urządzili komuniści lub terroryści, nie będzie wolnego weekendu.

Gdy w 1976 r. wstępowałem do armii, sądziłem, że będzie tam po prostu praca, jak każda inna. Miałem 18 lat i jak wielu chłopaków w moim wieku, nie bardzo wiedziałem, co ze sobą począć. Do tego kroku namówiła mnie matka oraz jej przyjaciel w typie Rambo dla ubogich.

Podpisałem zobowiązanie na cztery lata i dostałem za to 1500 dolarów. Nie zastanawiałem się nad tym, czy pragnę bronić wolnego Zachodu przed komunistami. Myślałem o tym, że po dwudziestu latach służby otrzymam zapewne całkiem niezłą rentę.

Osiemnaście pierwszych miesięcy służyłem w USA. Przeszedłem pół roczny kurs, na którym uczono wszystkiego o broni nuklearnej. Potem wysłano mnie do bazy pershingów w RFN. Wyładowałem w Mutlangen. Baza otoczona była wówczas jedynie żarzewiowym drutem, a rakietki złożone poza jedyną bramką, bez ochrony. To się wkrótce zmieniło.

Dwie godziny warty, dwie godziny odpoczynku. I tak dzień po dniu. Morderczy rytm. Ogłupiające życie. Przy tym granie ze śmiercią. Sytuacja taka, że ktoś, kto choć trochę orientuje się w bazie, gdyby tylko chciał, bez żadnych

problemów mógłby ukraść rakietkę czy jej głowicę.

Mimo ostrzegawczego wstępu na teren koszar osobom prywatnym, żołnierzom zawsze znajdą sposób, by przemycić panienki. Znam przypadek, kiedy dziewczyna jednego z żołnierzy mieszkała pół roku w koszarach i nikt tego nie odkrył. Połem jej się znudziło i poszła sobie.

Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że znajduję się w samym środku jakiegoś obrotu. Postarałem się, by zwolniono mnie ze służby z bronią i otrzymałem przeniesienie do sztabu. Tam okazało się, że jestem jeszcze bliżej miejsca, gdzie któregoś dnia być może zapadnie decyzja o naciśnięciu guzika... Czulem się źle mając świadomość, że wokół zgromadzona jest broń rakietowa. Powiedziałem sobie wówczas, że jako chrześcijanin nie mogę dłużej być żołnierzem w takim miejscu.

W konsekwencji zostałem wysłany do wojskowego psychiatry. Był nim zwyczajny żołnierz, w wieku 16 albo 19 lat. Dał mi test złożony z czterystu pytań i powiedział: „Wszystko będzie O.K., że byś tylko zbyt dużo nie myślał!” Tutaj

nie dopuszcza się, by żołnierz myślał. Powtarza mu się: „Nie za to masz płacę, byś myślał! Jeśli zaczniesz myśleć, możesz mieć kłopoty!”

Mimo iż istnieje wiele prostszych sposobów, by wystąpić z wojska, napisaniem w podaniu, że odnowiam dalszą służbę z powodów związanych z moją wiarą i sumieniem. Było to 23 stycznia 1968 roku.

Moi podwładni byli zachwyceni, że coś się dzieje. Natomiast oficerowie unikali kontaktów ze mną. Gdy spotkałbym się przypadkiem, przechodzili na drugą stronę ulicy. Było tak jakbym miał chorobę zakaźną.

Po roku bezskutecznego oczekiwania na odpowiedź, zdecydowałem w dniu 23 lutego 1967 r. przejść do pracy bez munduru.

Potem wszystko poszło dość gładko. Al nadziedzili dzień 13 marca, w którym wylądował samolot i odleciałem do USA. Tam czekało na mnie piśmienne zwolnienie ze służby.

Tłumaczyła i opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ



W CAŁYM KRAJU!

REKLAMA
w naszym piśmie żyje dwa tygodnie.
Zlecenia od przedsiębiorstw, instytucji
i osób prywatnych przyjmuje
BIURO REKLAM I OGŁOSZENI
Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego
Zielona Góra, al. Niepodległości 25
tel. 46-61 do 64
**ogłaszać się
w nadodrzku**

Jeszcze o pornografii

Gdy w 1981 roku znana aktorka zachodniemiecka Hildegard Knaf pokazano w przemyślanej scenarii, naga przez kilka sekund na ekranie, rozległy się głosy pełne oburzenia. Jeszcze tak niedawno, bo w 1963 roku film Ingmara Bergmana „Milenie” wywołał sensację i poruszenie publiczne swoimi, jak na dzisiejsze czasy, raczej niewinnymi scenami erotycznymi. To samo zresztą spotkało w 1975 roku już znacznie śmielsze erotycznie filmy Pasoliniego i Japończyka Osashimy, ale niebawem przebiły już one sobie drogę na ekrany wielkich kin.

Jeśli śmiało erotycznie filmy trafiły do kin normalnego rozpowszechniania, to pornografia w czystym wydaniu powołała do życia obywateli sieć własnych kin, gdzie nieprzerwanie przez całą dobę wyświetla się filmy tak wyuzdane, że prześcigają najbardziej wybujałą wyobraźnię.

Jeszcze większy przewrót oznaczało pojawienie się kin wideo. Jest ich np. w Niemczech Zachodnich ponad 4300. Ich roczny obrot wynosił przeszło 850 milionów marek.

Obok tego świetnie prosperuje około 1000 sex-shopów (sklepow z różnymi akcesoriami branży pornograficznej) a przede wszystkim wypożyczalnie kasety z filmami porno. W roku ubiegłym wypożyczano w RFN przeciętnie pół miliona takich kasety miesięcznie a jeszcze więcej sprzedawano w cenie od 30 do 200 marek za sztukę. Ogółem branża pornograficzna nad Renem wykazuje się obrotem przekraczającym grubo miliard marek rocznie.

Co się wydarzyło w ostatnich latach, że pornografia tak się rozwinęła, jak

można by określić najbardziej precyzyjnie treść tego zjawiska. Według — o czym wspominał badacz tego tematu Corda Schnibbenha —

— nagłość stała się ogólnie dopuszczalną;
— panowanie nad seksem wymknęło się spod władzy kościoła i znajduje się obecnie całkowicie w rękach byznesu;
— masturbacja przestała być sprawą wstydliwą, coraz bardziej upowszechnia się pogląd, że można przy jej pomocy uzyskać tę samą rozkosz, nie podejmując ryzyka zarażenia się AIDS-em, chorobami wenerycznymi;
— upowszechnienie się samogwałtu kobiet.

Aby spełnić te oczekiwania wyłansowano cały arsenał środków do tego służących, w postaci plastikowych wibratorów, gumowych penisów nadmuchiwanych i ogrzewanych sztucznie, wyposażonych w różnego rodzaju dodatki, mające zapewnić jak najwierniejsze doznania erotyczne.

Seks-kina pobudzają nie tylko wyobraźnię erotyczną, ale wprawiają w

ruch również ręce oglądającego mężczyzny. Cała branża porno odpowiada przede wszystkim potrzebom mężczyzny i dla niego została w pierwszym rzędzie stworzona.

Jak napisała Sabine Rosenblatt na łamach hamburskiego tygodnika STERN, obecna pornografia przede wszystkim dla męskiej wyobraźni i dla męskich oczu jest przeznaczona. Coitus fotografowany w zbliżeniu i oriągający dzięki temu astronomiczne wręcz rozmiary, podczas którego penis porusza się rytmicznie z bezduszną precyzją automatu, nie bywa niemal nigdy — stwierdza autorka — przymowywany przez kobiety jako widowisko podniecające. Natomiast mężczyźni cechują się budową do absurdu kult fallusa. Upaja ją się oni nim i zachwycają, opowiadają przesyłając o swoich możliwościach w tej dziedzinie.

Indagowane przez hamburski Instytut Seksuologii kobiety, które oglądały filmy porno z najbardziej wyuzdanymi sytuacjami, określiły je jako raczej nie smaczne a wiele z nich nie kryły odrazy i obrzydzenia. Dotyczyło to również tak modnego obecnie seksu grupowego, ciągłej wymiany partnerów, seksu analnego, oralnego.

Choć oczywiście i wśród kobiet są amatorki tego rodzaju stosunków, jednakże wśród mężczyzn jest ich nieporównywalnie więcej. 80 procent mężczyzn oglądających filmy porno, podczas których obficie leje się sperma buziach i piersiach kobiet a penisy buszują we wszystkich otworach i zagłębieniach ciała kobiecego, uważa je za podniecające, podczas gdy przeważająca większość kobiet za odpychające.

To zresztą nie powinno zbytnio dziwić. One są przecież przede wszystkim obiektami a nie partnerkami w pornograficznym seksie. Inne są także ich odczucia seksualne. Podczas gdy dla mężczyzny stosunek seksualny jest idealnym grym (mimo), przytłaczająca większość kobiet, stwierdza, że dla nich najbardziej

upojne jest romantyczne uwodzenie oraz delikatne pieszczoty.

Inna jeszcze sprawa to wyzwalanie przez pornografię i lansowane przez nią wzorce agresji i brutalności.

Twierdzone wprowadzie (teoria ta powstała w 1968 roku, a następnie rozwinęła się szeroko), że rozpowszechnianie pornografii wpływa rzekomo tonizująco na akty gwałtu w sferze życia seksualnego. Tymczasem teraz udokumentowano, iż oglądanie pornografii wcale nie działa hamulcowo na instynkty przemocy i agresji. Wbrew teorii, że pornografia rozładuje agresję, w ostatnich latach — a więc w okresie jej największego rozwoju — ilość gwałtów w RFN wydawnie się zwiększyła. Widać z tego wyraźnie, że oglądanie pornografii, która zawiera mnóstwo scen przemocy, wywołuje raczej instynkty agresywne. Odnosząc się więc z całym pobłażaniem i zrozumieniem do rozpowszechniania pornografii, trzeba podkreślić, że wiele przestępstw dokonanych zostało właśnie w wyniku naśladowania wzorców lansowanych przez porno-wideo.

Tak np. w USA wyłansowano specjalny hymn na cześć miłości oralnej „Deep Throat” w filmie o tym samym tytule, który uznano za jeden z najbardziej wyzwalających, dających radość i rozkosz.

Tymczasem rozpaleni pokazanymi tam wzorcami miłości oralnej niektórzy mężczyźni zadawali gwałt swoim partnerkom a raczej ofiarom tego rodzaju stosunków. W dobie AIDS-u, gdy nawet stosunek oralny uprawiany jest przez prezerwatywę, zdarzało się, że kobiety dusiły się znużoną prezerwatywą.

Nie ulega wątpliwości, że pornografia w pewnym stopniu sprzyja przelamywaniu zahamowań i wynajdywaniu nowych form rozkoszy. Rozkosz ta, jako cel współżycia seksualnego jest potępiona przez kościół, który stosunek seksualny uważa za dopuszczalny tylko dla prokreacji i jedynie w ramach małżeństwa.

Tymczasem pornografia polega na, jak głosi klasyczna formuła, wywołaniu przed wszystkim na wywołanie podniecenia seksualnego. Służą temu filmy a także prezentowane w sex-shopach fryzurskie przedmioty, organizowane jak to widziałem w słynnej dzielnicy rozrywkowej Hamburga Saint Pauli, tzw. targi porno, podczas których wystawia się szeroki asortyment przedmiotów tej branży. Asystują temu rozebrane do naga dziewczęta.

Jeśli o Polskę chodzi, to tylko 8 procent ankietowanych popiera oglądanie pornografii, natomiast aprobuję ją, choć w różnym stopniu, blisko 60 procent. Cechy społeczne i demograficzne różniące znacznie stosunek respondentów do oglądania pornografii. Jak wszędzie na świecie, kobiety w porównaniu z mężczyznami są i u nas mniejszymi zwolennicami porno, praktykujący katolicy popierają pornografię silniej niż niepraktykujący lub niewierzący.

Szczególne interesujący jest tu poziom wykształcenia: oglądanie pornografii aprobuje 85 procent ludzi z wykształceniem wyższym a tylko 45 procent z wykształceniem podstawowym. Mimo dość zróżnicowanej opinii w poszczególnych grupach badanych, oglądanie pornografii spłyka się na ogół w naszym społeczeństwie z dużą tolerancją. Gdyby więc głos tzw. opinii publicznej był brany pod uwagę, prezentacja filmów porno w niektórych wyznaczonych kinach i oczywiście tylko dla dorosłych, byłaby dozwolona, a nie tylko oglądana na prywatnych seansach wideo.

Na Zachodzie podjęto obecnie walkę z pornografią, oczywiście bez większych rezultatów i widoków powodzenia.

Na czele tej kampanii stoją czasopisma kobiece: „Emma” w RFN czy „Elle” we Francji. Jednak jak się wydaje, będzie to typowa walka z wiatrakami.

MICHAŁ HOROWICZ

Do moich rąk trafił niedawno pięknie wydany w Chicago katalog poświęcony zespołowi siecznej broni po marszałku Józefie Piłsudskim, a zatytułowany: „Szable Marszałka Piłsudskiego wracające do Paryża”. Dotyczy on wystawy, która w marcu i kwietniu ubiegłego roku czynna była w Muzeum Polskim w Chicago.

Historia zespołu broni siecznej pokazanego na wystawie jest wręcz sensacyjna.

Otóż broni Piłsudskiego stanowiąca de pozost jego żony Aleksandry, złożona była po śmierci marszałka w 1935 r. w Muzeum Belwederskim. Tuż po wybuchu wojny broni znalazła się w transportie majątku Funduszu Obrony Narodowej, który 17 września 1939 r. przekroczył granicę rumuńską i umieszczony został na terenie polskiej ambasady w Bukareszcie. W transporcie tym wraz z szablami znajdowały się również skrzynie zawierające repliki Piłsudskiego, jego mundur wraz z czapką oraz marszałkowska buława, jak też część Archiwum Kapituły Orderu Virtuti Militari.

W Bukareszcie dokonano podziału belwederskich zbiorów na trzy części. Dwie walizy replik wraz z mundurem i buławą oraz innymi pamiątkami po Piłsudskim, przewiózł 13 października

kandę sądową w Chicago! Jednakże jak pisze cytowana już „Zgoda”: „Szczęśliwie nie doszło ostatecznie do gorzącego widowiska. Na początku sierpnia ze szlęgu roku (tj. 1986 — przyp. W.K.) nowym prezesem Zjednoczenia został wybrany Edward Dykła, z którym Stanisław Jordanowski, obecny prezes Instytutu Piłsudskiego w Ameryce szybko doszedł do porozumienia tak, że w dniu 31 października nowe władze Zjednoczenia powziły decyzję zwrotu szabel Bibliotece Polskiej w Paryżu”.

W efekcie tej decyzji Muzeum Polskie w Chicago zatrzymało szablę podarowaną w 1927 r. Piłsudskiemu przez amerykańską Polonię, jak też zagarek. Przed zwrotem do Paryża cały zespół broni eksponowany był w marcu i kwietniu 1987 r. na wystawie w Muzeum Polskim w Chicago — uroczystego przekazania szabel dokonano 9 maja 1987 r. w obecności obu córki Piłsudskiego. Szablę można było oglądać wy-

widując słone daty: „6.3.1914 — 6.3.1916”, zaś na odwrocie dedykacja: „Oficerowie i Brygady swemu Komendantowi”. Opisująca szablę jest pod względem historycznym szczególnie cenna pamiątka: z tą szablą przeżywał Piłsudski w Magdeburgu, miał ją przy sobie, gdy został Naczelnikiem Państwa, z nią również zwyciężył bolszewików w bram Warszawą”.

2) „Kindzal rtm. Jaworskiego”, kindzal w typie kaukaskiej kamy. „W dniu imienia Józefa Piłsudskiego, 19 marca 1919 roku Rotmistrz Jaworski ofiarował Naczelnikowi zdobyty kindzal kaukaski. Na pochwie jest wygrawerowany napis: „Ukończonemu Wodzowi — (potem w słowie) Józefowi Piłsudskiemu — od oficerów i żołnierzy Szwadronu Rotmistrza Jaworskiego 19.11.1919 r.”

3) „Szabla Tyszkiewicza”, nawiązująca w konstrukcji rekojęści do szabel polskich wz. 21.

„Szabla ta była wykonana w warszawskiej firmie brązowniczej Braci Łopieńskich na zamówienie J. Tyszkiewicza i wręczona Marszałkowi 18 października 1920. Ordoba tej szabli jest doskonale skomponowana reko-

Masoneria bez tajemnic

Kielich goryczy

Wiesław Hładkiewicz

Andrzej Strug był człowiekiem samoknitym w sobie. Wyglądał zawsze tak, jakby nosił na ustach pisząc tajemnicę.

Znakomity historyk i bliski przyjaciel Struga prof. Marceja Handelsmana, powiedział o nim kiedyś „pociągł a jednak nie dopuszczając do poufności”. Już od wczesnej młodości stronił od świata uciech i ludzi, którym zbyt łatwo ufał. Dźwigał brzemie wielkiej tajemnicy w wieczne skołowanej duszy.

Strug należał do kilkunastoosobowej grupy Polaków, którzy na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej podjęli trud odrodzenia polskiego wolnomularstwa, zlikwidowanego na mocy zaborskich nakazów w 1823 r. W grupie tej znaleźli się obok niego dr Rafał Radziwiłłowicz (znany lekarz-psychiatra, późniejszy profesor Uniwersytetu Wileńskiego i pierwszy Wielki Mistrz Wielkiej Loży), Stefan Żeromski i prof. Michał Sołkiewicz (wybitny dyplomata i historyk).

Wysiłki związane z odrodzeniem polskiej masonerii tak opisał M. Sołkiewicz we wspomnieniach pt. „Czternaście lat”: „W czasie pobytu w Zakopanem w 1909 r. ... powiedział mi Żeromski, że jego szwagier doktor Rafał Radziwiłłowicz ma mi coś ważnego do zakomunikowania. W poufnej i bardzo osobistej rozmowie oświadczył mi, że gotów jest ważyć rzeczy, że związki jakie istnieją między Polakami, nie mogą być w powietrzu, winny być czymś połączonym i ugruntowanym (...). Takim najlepszym sposobem jest zbliżenie i wejście w kontakt z Wielkim Wschodem w Paryżu”.

W tym celu do Paryża udał się Andrzej Strug, abyby umocnić te kontakty. Tu, jak należy sądzić, Strug wraz z kilkoma innymi Polakami został „inicjowany” do paryskiej loży „Les Renouveateurs”. Członkiem bratem był w niej, skazany na karę śmierci za udział w Komunie Paryskiej, architekt inż. B. Sincholle. Jemu to Wielki Wschód Francji powierzył zadanie renowacji wolnomularstwa w Rosji i w Polsce.

Polscy członkowie loży „Les Renouveateurs” założyli na przełomie 1909-1910 r. w Warszawie lożę „Wyzwolenie”. Patent na jej działalność przywiózł z Paryża znany socjolog Edward Abramowski. Wielki Wschód już od dawna zerwał z tzw. obrazkiem szkodliwym. W 1877 r. usunął on ze swych ołtarzy Biblię, a ze swą konstytucję wykreślił sformułowanie, że wolnomularstwo opiera się na wierze w istnienie Boga i w nieśmiertelność duszy. Kościół rzymsko-katolicki wystąpił więc z oficjalną krucjatą przeciw masonom — bezbożnikom.

Ścisłe związki Andrzeja Struga z polską i międzynarodową masonerią czynią z niego centralną postać polskiego dramatu — niewoli i wolności. Piastował on do 1930 r. najwyższą godność w polskim zakonie wolnomularskim. Należał do niewielkiego grona tzw. ujawnianych masonów, którzy nie obawiali się groźących im ataków i przykrych konsekwencji, godzili się z tytułu zajmowanych stanowisk w bractwie na umieszczanie swych nazwisk w oficjalnych międzynarodowych wydawnictwach masonskich.

Był Andrzej Strug w latach 1920-1929 Najwyższym Suwerennym Komandorem polskiej Rady Najwyższej 33 stopnia. Z tego tytułu pełnił więc funkcję zwierzchniej władzy nad lożami wyższych stopni. W latach 1922-1923 pełnił stanowisko Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży co dawało mu władzę administracyjną i prawodawczą nad lożami symbolicznymi trzech pierwszych stopni.

Najmiewano się powszechnie ze Strugą — masona. Śpiewano o nim nawet piosenkę polityczną na modłę ówczesnego meledy „Pod dachami Paryża”:

Gdy ciemność zapada
i światła latarni zapłoną
wtedy wychodzą masoni
i słuchają kielni stuk...
prowadzą długie narady
jak poobedzać posady
i mówią, że nie ma Boga
jest tylko Andrzej Strug...

Masonska kadencja Struga przypadała na okres szczególnie skomplikowanej sytuacji politycznej w kraju. Po

tragicznym zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza przez prawniczego fanatyka, malarza Eligiusza Niewiadomskiego w lożach zapanował nastrój grozy i lęku. Zaniepokojone zaistniałą w kraju sytuacją polityczną kierownictwo zakonu (Wielki Wschód) postanowiło podjąć nadzwyczajne środki bezpieczeństwa.

W opublikowanym komunikacie Wielkiej Loży Narodowej stwierdzono m.in.: „Z uwagi na uciążliwą się dezorganizację w życiu braterskim, w szczególności przejęcia troską o sprawy i dbałość o pełnienie czynności przez światła po szczególnych lożach, rozumiejąc, że przyczyną powyższych niedomagań tkwią zarówno w niewyrobieniu młodej organizacji jak i w nastrojach wywołanych przez wypadki ostatniej doby, jedno myślenie postanowiło nadać Wielkiemu Mistrzowi pełnomocnictwa specjalne...”

Strug otrzymał więc prawo do: 1) za miany według uznania na stanowiskach czcigodnych, światła i urzędników w poszczególnych lożach, 2) reorganizacji



Andrzej Strug

loż, włącznie do uspienia całej loży, 3) „w represji” w stosunku do poszczególnych braci do „czasowego uspienia” włącznie, 4) uzupełnień lub zmian po szczególnych w lożach Wielkiego Wschodu.

W komunikacie Wielkiej Loży Narodowej stwierdzono ponadto, że: „pełnomocnictwa powyższe wypływają ze szczególnej, odrębnej i lojalnej interpretacji istoty władzy i odpowiedzialności Wielkiego Mistrza, cierpią one zrodło z ducha masonerii”. Na podstawie tych nieograniczonych pełnomocnictw Strug „na pil” (czytaj: pozbądź się — W.H.) duży liczbę braci, którzy okazywali sympatię i solidaryzowali się z ówczesną prawicą. Była to pierwsza wielka czystka w polskiej masonerii lecz rozbiła od awersu natrz działalność loży nadal było realne.

Strug angażując się coraz mocniej przeciw sanacji i Piłsudskiemu, także musiał wypieć przyszłowi „kielich goryczy”. W 1930 r. wybiła i dla niego symboliczna „północ”, po której kończą się czynności loży. „Pokrył” więc swój warsztat „zamykając w szufladzie” swą je masonskie insygnia — młotek i far tuszek. Ideą masońską pozostał jednak nieodwrotnie do końca życia. Jednakże tajemnicę „warsztatów” loży zabrał ze sobą do grobu.

Strug, który jak Robespierre nosił miano nieskazitelnego, był zwolennikiem apolityczności masonerii. Twierdził, iż tylko ta zasada może ją uchronić przed dramatami, a te przychodziły z zewnątrz, rodziły się wśród profanów. Trudno jest jednak hermetycznie odciąć się od świata zewnętrznego, nawet w loży „sprawiedliwej” i „doskonałej”. Związki masonerii z władzą i polityką stały się dla niej niejednego masońskiego „kielichem goryczy”. Mówiono wręcz o zdradzie w świątyni Salomona.

Nie zerwał jednak Strug swoich kontaktów z dawnymi braci. Gościł ich często w swym domu. Sam politycznie zaangażowany zaprzeczał swoją osobą ideę „apolityczności” masonerii. Stał na czele zarządu „Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela Działali w niej obok masonów, także przedstawiciele różnych postępowych i radykalnych stronnictw politycznych, komunistów i bezpartyjnych. Sam Strug, przez wiele lat działacz PPS, znalazł się później w szeregach KPP. W 1936 r. wraz z grupą innych wolnomularzy wszedł w skład Centralnego Komitetu Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucji nielom.

SZABLE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Włodzimierz Kwaśniewicz

poseł Polski w Sofii ambasador Tarnowski do Londynu — i tam przekazał ją na ręce Aleksandry Piłsudskiej. Drugą część, na którą składało się Archiwum Kapituły Orderu Virtuti Militari, przewiózł w styczniu 1940 r. do Paryża — a stamtąd również do Londynu dr W. Jędrzejewicz (autor wstępu katalogu, który wspominał na początku). Trzecia wreszcie część zawierała szablę i kindzali Piłsudskiego. Ich transportem za jeli się przybyli do Bukaresztu z Warszawy oficerowie francuscy pod dowództwem kpt. Winiera z francuskiej misji wojskowej. W ten sposób broni 12 października 1939 r. znalazła się w Paryżu, gdzie wręczono ją prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi. Ten z kolei (za zgodą przebywającej wówczas w Londynie Aleksandry Piłsudskiej) 28 października zdeponował broni na terenie Biblioteki Polskiej w Paryżu.

14 czerwca 1941 r. po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Paryża, ówczesny dyrektor Biblioteki Polskiej Franciszek Pułaski (w prostej linii potomek brata Kazimierza Pułaskiego) najcenniejsze zbiory Biblioteki wraz ze zdeponowaną bronią Piłsudskiego ukrył w podziemiach Muzeum Carnavalet. Po wyzwoleniu Paryża, 1 listopada 1944 r. szablę powróciła do Biblioteki Polskiej na Quai d'Orleans.

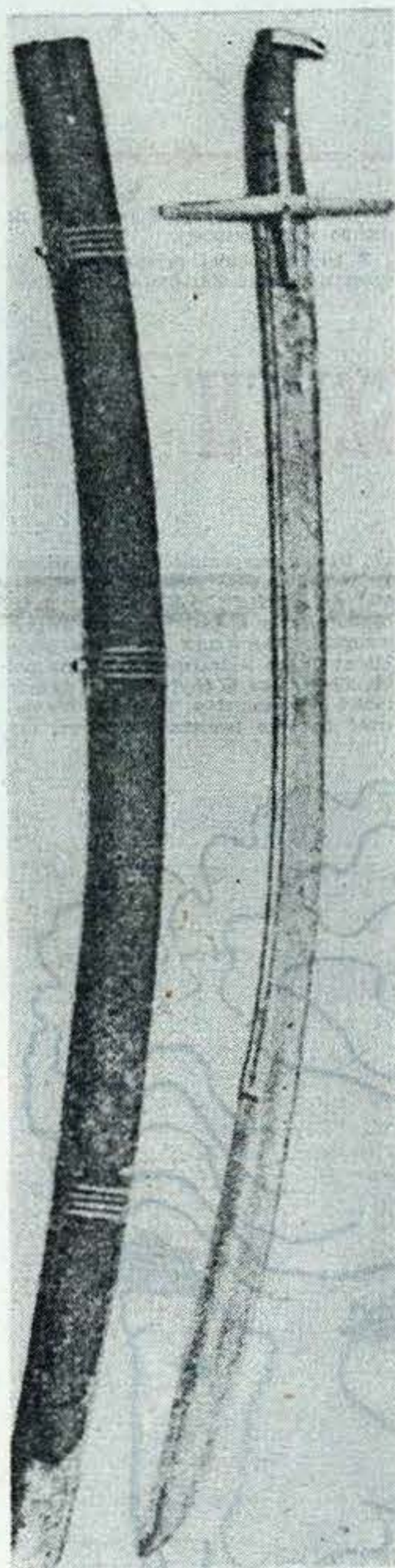
W związku z tym, że zaraz po zakończeniu wojny rząd Polski Ludowej zabiegał o przejęcie zbiorów Biblioteki, F. Pułaski osobiście wywiózł broni do USA, gdzie 17 stycznia 1945 r. przekazał ją jako formę depozytu do Muzeum Polskiego w Chicago.

Tak ten fakt opisywał emigracyjny Dziennik Związkowy „Zgoda” z 22-23 maja ubiegłego roku: „Mimo zakończenia wojny niebezpieczeństwo zagrożeń ce szablami Marszałka nie minęło, gdyż władze PRL chciały je przejąć w swoje posiadanie. Dyrektor Biblioteki F. Pułaski w pośpiechu zawiózł szablę osobiście do Chicago i w dniu 17 stycznia 1947 r. złożył je uroczystie jako depozyt na ręce prezesa Zjednoczenia Polskiego Rzymskiego-Katolickiego, Józefa Kanta i kustosa Muzeum Polskiego Mieczysława Haimana. Minęło sterc lat, zmieniły się władze zarządu Zjednoczenia, zmarła marszałkowna Piłsudska i minęła groźba przejęcia Biblioteki Polskiej przez władze PRL. No cóż, jak na dziennik o wdzierzinie nazwie „Zgoda” jest to zestaw informacji dosyć symptomatyczny w swym duchu i wymowie...”

Dalsze dzieje szabel Piłsudskiego są nie mniej barwne i frastrajne. Otóż w 1958 r. zmarł w Paryżu dyrektor F. Pułaski, a w 1963 r. w Londynie Aleksandra Piłsudska. W międzyczasie wielokrotnie zmieniali się dyrektori Biblioteki Polskiej w Paryżu jak też zarządy Muzeum Polskiego w Chicago — doszło też do wyjaśnienia sytuacji prawnej Biblioteki. Wreszcie córki Piłsudskiego, Wanda i Jadwiga, postanowiły w jednym miejscu pomieścić pamiątki po swym wielkim ojcu — i na miejsce to wybrały Bibliotekę Polską w Paryżu.

W efekcie powyższej decyzji Biblioteka podjęła starania o zwrot depozytu z Muzeum Polskiego w Chicago. Prowadził je Wiesław Domaniński, delegat Biblioteki w USA. On też we wrześniu 1976 r. podał pierwszą obszerną wiadomość o losach szabel. No i zaczęło się! Starania przez ponad 20 lat były bezskuteczne, mimo zaangażowania szerokiej społeczności polonijnej, interwencji wielu wysoko postawionych osobistości. W sprawie zaangażowała się m.in. paryska „Kultura”.

Jednakże Zjednoczenie Polskie Rzymo-Katolickie sprawujące władzę zwierzchnią nad Muzeum Polskim w Chicago było niezdolne w swym negatywnym stanowisku. A sprawa zabrzała tak daleko, że znalazła się w rekach adwokata i misno ją uprowadzić na w-



eksponowane w gablotach a uroczystość zakończenia odpisywania „Pierwszej brygady”.

Tyle o jakiej polskiej historii zbioru szabel po marszałku Piłsudskim. Teraz parę słów o niektórych, najbardziej charakterystycznych.

1) „Pierwsza polska szablę XX wieku”, szablę w typie polskiej szabli wz. 1917 oficera piechoty.

„Szablę tę ufundował swemu Brygadziarzowi Józefowi Piłsudskiemu oficerowie i Brygady Legionów, w dniu 6 sierpnia 1916 roku. Wykonana przez firmę Weyersberg Co. w Solingen w 1916 roku, stała się pierwszym szablą oficera piechoty (le pionożej). Na głowni, wykonanej z damasceńskiego stali, znajduje się okrągły grzebień przechodzący w obłoteczne pióro. Na przedniej stronie

jest, która jest w stylu szabli 1921”. Tuż pod nasadą angielskiej głowni, na jej przedniej stronie wygrawerowany jest wizerunek Matki Boskiej Począjowskiej, a pod nim w generalskim weżyku napis: „Naczelnemu Wodzowi Józefowi Piłsudskiemu w hołdzie składa J. Tyszkiewicz z województwa Kijowskiego”.

4) „Szabla Naczypu”. „Szabla Naczypu” czyli Naczelnego Komitetu Wojskowego (ukonstytuowanego w Rosji w czasie trwania rewolucji 1917 r.) została ofiarowana Józefowi Piłsudskiemu w dniu 1 sierpnia 1921 r. jako wyraz wdzięczności Polaków z Rosji”. Na frontowej stronie głowni wytrawiono słowa: „Józefowi Piłsudskiemu — Honorowemu Prezesowi Ogólnego Zjazdu Polaków w Rosji — Naczelnemu Komitetu Wojskowemu”. Na odwrocie głowni: 7 czerwca 1917 — 1 sierpnia 1921 r.

5) „Szabla perska”. Ta bardzo bogato zdobiona szablę była podarowana Marszałkowi przez Sejm Litwy Środkowej w 1922 roku.

6) „Szabla napoleońska”, w typie pięknych szabel francuskich z przełomu XVIII—XIX w.

„Była wykonana przez francuskiego mistrza platniera, z epoki napoleońskiej, Bouteta. Marszałek otrzymał ją w darze od delegacji armii francuskiej, która pod przewodnictwem marszałka Focha bawiła w Polsce w 1923 roku”.

7) „Szabla tolekańska (paradna)”, utrzymana w typie szabel pol. wz. 21. „Szabla ta przeznaczona była do osobistego użytku Marszałka w sytuacjach codziennych wystąpień reprezentacyjnych. Wykonana była w Toledo na wzór polskich szabel z 1921-1922 roku”. Do szabli należy srebrny temblak oficera i oręż jedwabna, aza rozciętą wąską, używana do wystąpień reprezentacyjnych. Szablę tej używał Marszałek Piłsudski praktycznie każdego dnia, aż do swej śmierci 12 maja 1935 roku”.

8) „Szabla Polonii amerykańskiej”, bardzo ozdobna. „Szablę ofiarowała Józefowi Piłsudskiemu przez Polonię Amerykańską w 1927 r. została wykonana przez warszawską firmę grawererską Wabia-Wabia. Głownia wykonana przez Boro Wielkiego, jest lekko zakrzywiona. Pod nasadą wygrawerowano skrzyżowane buławy marszałkowskie, a pod nimi napis: „ODNOWICIELOWI POLSKI”. Na drugiej stronie głowni umieszczono słowa: „ZŁACZONE KOMITETY IM. PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE”.

9) „Karabela ormiańska”, typu kostiumowego. „Karabela była darem lwowskiego kupectwa dla Marszałka w 1923 roku”.

10) „Puginał Sławoja”, ozdobna forma arabskiej dzabli. „Felician Sławoj-Składkowski wieloletni premier Rządu Rzeczypospolitej kupił ten puginał na Środkowym Wschodzie w latach trzydziestych. Podarował go Marszałkowi w imieniu 1930 roku”.

11) „Szabla batorowska”. „Szablę zwana Batorówką, pochodziła z zbiorów króla bawarskiego, ofiarowana była Marszałkowi Piłsudskiemu w dniu jego imienin 19 marca 1934 r. przez urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest to szablę typu węgierskiego z XVII wieku...”

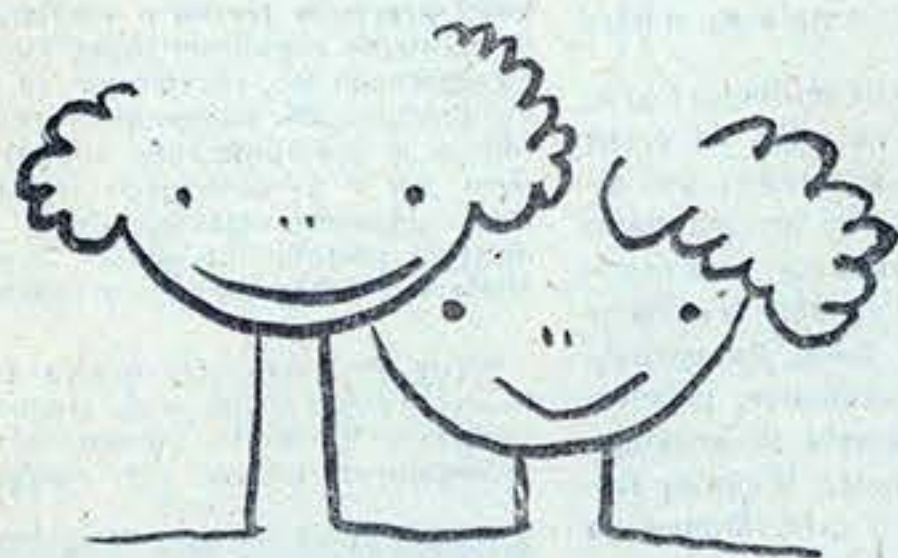
A może tak udałoby się tą piękną kolekcję związana z kontrowersyjną, ale jedną z najważniejszych postaci polskiej XX wieku, sprowadzić do Polski? O jej sprowadzeniu na stałe nawet nie marze — ale myślę, że Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie mogłoby taką wystawę na czas jakiś zorganizować. Szkoda, że nie udało się tego zrobić z okazji 70-lecia odzyskania niepodległości w listopadzie tego roku.

Ojczyzna dziada

Była ojcz, zna dla mnie wciąż razowa
Taką bosą poznałem ustawiając brogi
— Poganiając konie w omłotnym kieracie
I kręcąc srutownik

Gorąca była twarz babki — pieca
Zgrzebna i zmarszczona jako liście chrzanu
Spieczona z chlebem
W zakalec z gliną i z resztką popiołu

Taką wdychałem z ciepła komysnego
Taką z miętą piłem
Taką ukochałem



Rys. ROMANA KASZCZYC

Ojczyzna ojca

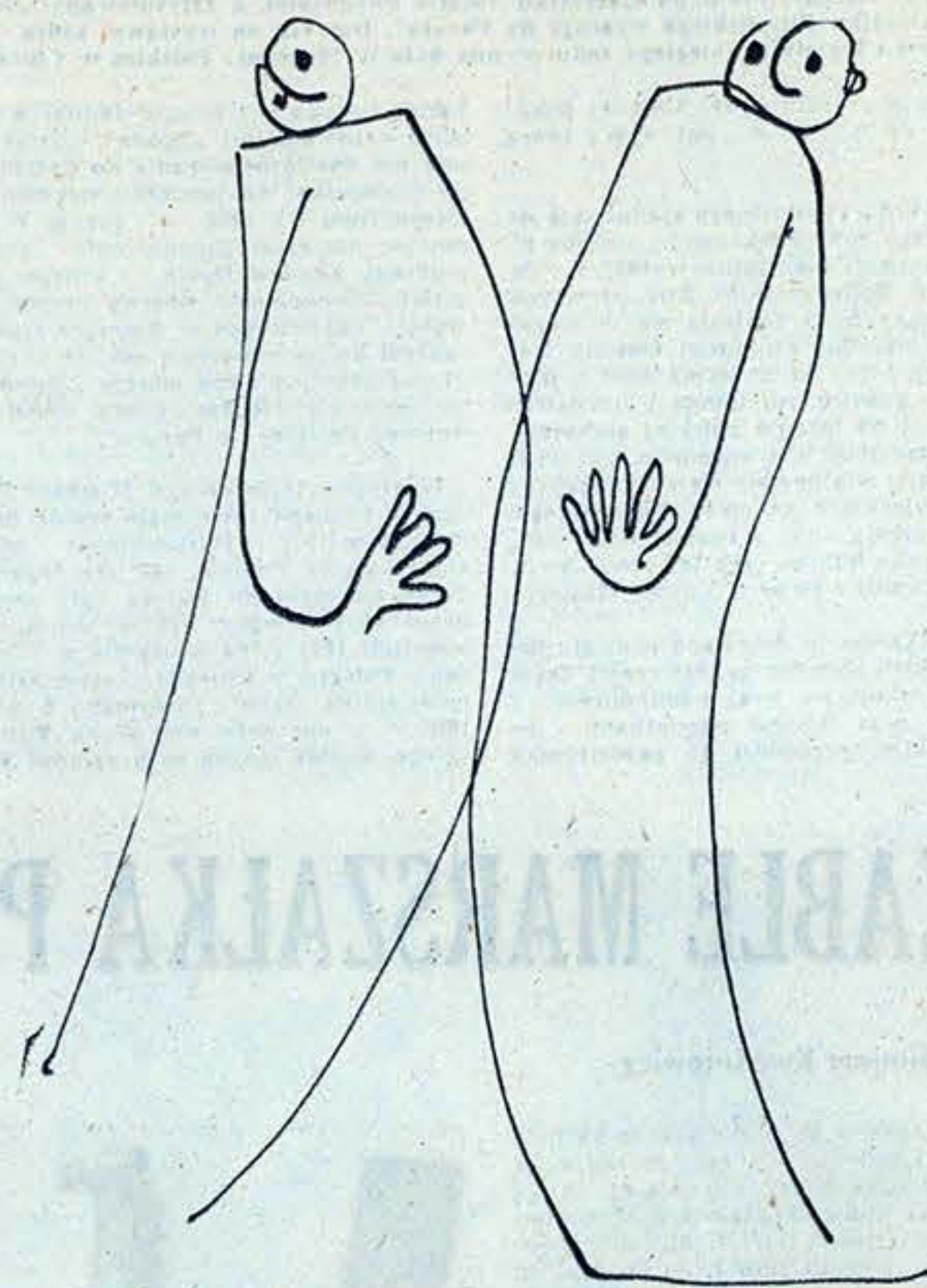
Była dla mnie dłonią złożoną do szabli
Troską i udręką w błocie z łez i z kurzu
Znojem sztandaru, modlitwą, pokorą
Powinnością ranka i wieczoru była

Dla niej każdy ucios
Dla niej każdy wydech
Dla niej nawet ciało izby ją użyźnić

Ojczyzna wnuka

Mój znój jest moim towarem
Pot mój ma w sobie sól i chlor
Surowce sprzedam i u Niemca kupię golonkę z piwem
U Francuza wezmę na stół flaszkę wina
Szwajcar da sera z mozaiką dziur

Moja ojczyzna w pięciu palcach dłoni
Zas miłość do niej jest w marzeniu
Ze Polska mi ręce z zarobkiem oswoi



Zdzisław Morawski jest ostatnim z poetów „patetycznych”. Zwykły używać figur retorycznych, które pozornie mogą nie satysfakcjonować czytelnika przyzwyczajonego do apokaliptycznego charakteru poezji ostatnich lat.

Jeśli mówi: „Przeciętny człowiek w tym mieście świadom swojej siły trwania może czuć puls tysięcy serc i oddać im swoje serce” — to obsługuje takim stwierdzeniem nieco archaiczną tęsknotę poety do bycia osobnikiem, tyleż społecznym, co wyabstrahowanym, zarozumiałym artystą. Jest jednak coś, co odróżnia i jakby usprawiedliwia artystyczną pewność siebie autora „Obecności”. Jego niebanalne doświadczenia życiowe muszą budzić respekt, a także poświadczać osobiście tożsamość jego twórczości. Oto Morawski — po jednej stronie życia — był studentem filozofii, pracownikiem politycznych i społecznych organizacji, prezesem oddziału Związku Literatów i dyrektorem szkoły, po drugiej — ślusarzem, kominiarzem i drwalem. Debiutował w trzydziestym-trzecim roku życia tomikiem „Pejzaż myśli”, jest autorem bodaj dziesięciu książek poetyckich, dwóch tomów prozy, kilkunastu dramatów i wielu słuchowisk, nie licząc felietonów, memoriałów, prowokacji publicystycznych i ważnych wystąpień „oratorskich”. Mistrz słowa i pięknej mowy — często kontrowersyjny, ale zawsze wierny sobie i obranej formule poetyckiej.

Bardzo interesujące są „okoliczności biograficzne” Morawskiego. Debiutował trzy lata po wybuchu poezji pokolenia „Współczesności” pięć lat po debiucie Andrzeja Bursy w „Życiu Literackim”. W rok przed wystąpieniem poezji „hybrydowców”. Urodził się w mieście Stachury, rozmawiał wielokrotnie z Markiem Rózką, był świadkiem wielu publicznych wystąpień Juliana Przybosa i wielu innych, wybitnych poetów polskich. Lecz nigdy nie opuszczał Gorzowa i żaden z wyżej wymienionych faktów nie miał istotnego wpływu na jego twórczość. Można jedynie odnaleźć pewne konsekwencje myśli twórczej Juliana Przybosa, albo w ogóle szeroko pojętej awangardy.

Jako już doświadczony składnik debiutanta, był zachłystnięty możliwościami nazywania w ogóle. Stąd rozdzielił się doświadczenia semantyczne w rodzaju: „Nietojanieto / figluje galka / odbiornik eter / chinka mądralka”, z czasem jednak konsekwentnie urabiał Morawski język, aby wreszcie dojść do sformułowania poetyckiego imperatywu na własny użytek.

I oto już jako dojrzały pisarz skonkretyzował wizję świata, godną poetyckiej obsesji: „Wraz z powszechną inwazją marności towarowej jaka panuje w procesie przetwarzania materii, zmała ranga wyrazu, tandetne stały się słowa. Słowo stało się ciekawym bez pokrycia, bowiem odeszło od rzeczy, czyli od tego z czym zawsze starało się być zespolone. W tej sytuacji uważam, że ujęcie żywiołu w poetycki rygor jest moją powinnością”.

Owe poetyckie „dezygnowanie” rzeczywistości, nazywa Morawski „stwarzaniem arcyrzeczy”. Ucieka więc od swoistej metafizyczności, fascynując się konkretem. Już choćby tytuły jego tomików świadczą o określonej samoświadomości artystycznej („Granitowe powietrze”, „Relief z betonu”, „Plaskorzeźby”, „Wektory”). Wizja poezji nadmaterialnej, obsesja obłaskawiania rzeczy, „układania” się z materią

Szkic do portretu

OSTATNI Z PIERWSZYCH

Czesław Markiewicz

— wiedzie wprost do posadzenia o artystystwo i sublimację społeczną. Można więc posadzić Morawskiego o wyłączenie estetyzowanie. Ale taki osąd byłby z jednej strony zbyt uniwersalnym komplementem, z drugiej zaś krzywdzący prowincjonalnego — nomen omen — poety, odbierając mu wie lokrotnie eksponowaną przezeń etyczność. „Mały człowiek z małego miasteczka Gorzowa nie ma szans wpływać na bieg historii, więc tym gorzej musi szukać własnej formuły obecności” — mówi dość skromnie Morawski. I chociaż wierny uniwersalistycznej formule „obecności człowieka w wysoko zmaterializowanym świecie”, reagował na ciśnienie tzw. „tu i teraz”. Artystowskie tęsknoty nie zwoływały go od dawania świadectwa własnej, fizycznej obecności w określonym czasie i przestrzeni. Połączenie estetyzmu z etycznością — mówiąc najprościej — dokonało się w ostatnich latach; właśnie lata osiemdziesiąte przyniosły taki tekst: „Być emigrantem w Berlinie, Paryżu / Chodzić z pomrukiem Polska na Plac Invalidów / Stać wśród tłumy przechodniów na ulicach Wiednia / Słuchać głosnych Francuzów i burzących Niemców / To jest — powiada — emigrantem być / Zapewne fizycznie / Zapewne dotykając / Ręk do samochodów, stóp do rudych bruków”.

Jeśli teraz porównamy ten tekst z innym, wcześniejszym, zrozumimy solidność myślenia poetyckiego Morawskiego: „Dzielnicy urzędnicy w zatłoczonych biurach wypocili z siebie sól / praca ich jest tak ważna jako piwowarów / Ta rzeczywistość opisana z brzozy / Jest dotykana jak ubiór na zwierzu / Jest tak rzeczywista, że na rzeczywistość / Jest kreatorskim tropem nadmaterii”.

Owa świadomość osaczenia, nie przez systemy filozoficzne, ale przez przedmioty — stając się zmorem poetyckiego świata Zdzisława Morawskiego, wyjaśnia jego już publicystyczną, już prywatną mądrość. Jeśli poeta przeżywa przyczynę, stara się pogodzić lub przychylić skutek. Czy to się Morawskiemu udało? Wazniejszy problem stanowi czytelnicza świadomość poetyckiej wizji. Ale gorzowski poeta, zresztą warszawski prawdopodobnie też, tworzy dziś w sytuacji, kiedy niemal nikt uważnie nie śledzi jego słów. Zresztą nie słowa z tomików poezji, ważą rzeczywistość i jeśli Morawski mówi: „Rzeźbiony światłem przez oczy sąsiadów / Tresowany przez chód własny i cudzy / Układany do snu razem z nerwową uległością do zasypiania / Chciałbym dziś prosić o wieczną amnestię”, to takie poczucie „winy” jest wyrazem romantycznej tęsknoty poety do odpowiedzi jego wiersze, ale z uległości wobec u-

działności za tzw. „miliony”. W dzisiejszej sytuacji jest to tęsknota muzyczna i jakby wysoce nieskromna. Bo przecież nie ze słabości poety powstają

— nie stanie się czymś remedium na tempo współczesności.

Z zupełnie innej perspektywy, patrząc na postać Zdzisława Morawskiego

Osobiście uważam, że Morawski jest przede wszystkim i chyba tylko poetą. Poetą dużego formatu, trochę jednak zbyt wierzącym w „pokusy regionalizmu”. Dziś jest już może trochę za późno na spekulowanie, co by było gdyby...; jedno jest pewne: Morawski, jak nikt na Ziemi Lubuskiej, zachował tożsamość. Można żyć z tym, na przykład, na język „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy” w ogóle można podarować sobie czytanie tej powieści — ale towarzyszące jej okoliczności pozaliterackie (dziesięcioletni okres oczekiwania na druk i wcześniejsze nagrody już za mały zarys), budzą prawdziwy podziw dla autora za wiarę w swoją robotę.

Znając konsekwencje Morawskiego, można się jeszcze przedtem po nim spodziewać. Jeśli wizja poezji nadmaterialnej, będąca konsekwencją awangardowych propozycji Przybosa i Pepera, w zderzeniu z „armarką świadomością Morawskiego, zostanie spointowana klarownym czytelnikiem totem poezji — możemy być świadkami narodzin istotnych tradycji tzw. „poezji lubuskiej”.

Bowiem zapytajmy na koniec: co naprawdę się liczy? Publiczność literacka, dla której doradność poetyckiego przetworzenia jest wyłącznie „trawna”? Czy też sama poezja, karmiąca się rygorami, formą i strukturą? Trudno na przykład mówić o tym w przypadku poety Morawskiego, tu liczy się tylko talent i sztuka. Nawet jeśli ktoś później powie, że jest to „ostatnim z poetów patetycznych”.

Są więc bohaterowie i szmaciarze, artyści i opisywacze. Reszta jest już tylko anegdota i gadanin. Cóż więc znaczą słowa „awstawię” jako komentarz do poezji Morawskiego, że niby jego wiersze „odznaczają się jasnością sformułowań, klarownością symbolu i obrazu dzięki czemu reprezentują poezję przystępną szerokim rzeszom czytelników”. Myślę, że jest dokładnie odwrotnie: jest to poezja o podskórnej, wewnętrznej komplikacji, wymaga liczących odniesień i zestawień — dopiero wtedy jasne staje się wizje i obseksje poety i że czyliby się chyba sam Zdzisław Morawski — przeczuwając i eksponując „człowieczą słabość”, gdyby jego wiersze drukowano w „Ekspresie Wieczornym”, a młodzi poeci tworzyliby z nich jedyny cel swoich nieskoordynowanych ataków. Jest po prostu Morawski „pierwszym” poetą — bez względu na ocenę i miejsce zamieszkania bo ma swoją domosć budowania poezji, nie mającej nic wspólnego z tzw. pisaniem wierszy drukowanych później, od przypadku do przypadku w gazetach.

PS. Na dorobek twórczy Zdzisława Morawskiego składają się zbiory wierszy — „Pejzaż myśli” (1959), „Granitowe powietrze” (1963), „Konopne spłoty” (1965), „Plaskorzeźby” (1965), „Rejs przez ciche źródła” (1970), „Obecność” (1974), „Relief z betonu” (1977), „Wektory” (1979) oraz „Słowa w drewnie i kamieniu” (1987), powieści — „Kwartal bohaterów” (1964) i „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy” (1979), zrealizowane utwory teatralne, radiowe i telewizyjne — „Pejzaż otwarty” (1964), „Wilcze doły” (1968), „Basz o zezarowanym chlebie” (1970), „Maria Preta” (1971), „Zarty moich dni” (1971), „Przewoźnik” (1972), „Kamieniarz” (1973), „Technik księstwa Donde” (1974), „Opowieść wieczoru” (1974), „Dzień teścia” (1974), „Zegary” (1973), „Rzymska laźnia” (1977) i „Ćwiczenie w kwartecie” (1980).

Aktualnie tygodnik „Ziemia Gorzowska” publikuje nową powieść Zdzisława Morawskiego „Kłątwa na stacji Krzyż”.



Rys. KLEM FELCHNEROWSKI

dziesiątego wieku. Piękna to wiara, czytelne złudzenie, ale ocala pojedynczą świadomość chyba tylko samego poety, chociaż, jeśli wierzyć prawdzie, że poezja jest kontaktem i jedyną intymnością z drugą intymnością — to kto wie, czy „nie upokarzanie się przed materią”

nie wierzyć w sentyment do adoptowanego Gorzowa, nadaje on temu miejscu osobliwy kolor. Jest żywą legendą tego miasta. Młodzi poeci w kontakcie z autorem „Kwartalu bohaterów” zyskują potrzebną pokorę. Sam pisarz jest mistrzem i godnie tę funkcję obnosi.

Był sprytnym szlifierką i na wszelki wypadek zainstalował sobie od dwóch lekarzy świadectwo, że jest w pełni władz umysłowych. Zrobił to przed ślubem cywilnym, o którym zawiadomił krewnych, a potem złożył u notariusza wszelkie wymagane dokumenty dotyczące dziedziczenia majątku. Ten numer był w jego stylu, a ja nie miałam nic przeciwko temu, dopóki nie zorientowałam się, że życie z szalonym starcem nie jest takie łatwe, jak myślałam.

Pilnowałam, by miał zawsze pod ręką dobre trunki, bo wcale nie byłoby dobrze, gdyby żyjąc ze mną miał jakiś trzeźwy dzień. Gotowałam mu posiłki, nie musiał więc chodzić po restauracjach i w tym celu utrzymywać eleganckiego wyglądu, jak to robił dawniej. Marniał w oczach, ale sam tego chciał. Miałam z nim ciągle do czynienia starając się jak najlepiej zaspokajać jego zachcianki. Z początku nie sprawiał mi to trudności, bo po swoich przeżyciach sama byłam nieczuła i apatyczna, ale jego apetyt rósł w miarę jedzenia. Wydawał się nienasycony, do tego wstydził się swoich zachcianek, będąc przekonany, że nikt nie jest w stanie ich zaspokoić. Jego starcze ciało paliło się w moich objęciach jak na stosie, a ja pocieszałam się jedynie tym, że prędzej umrze, jeśli będę w stanie lepiej zaspokajać jego rozpasane żądze.

Był jednak przebiegłym starcem, nie pił za wiele, nawet przeciwnie, ograniczył picie, więc w strachu myślałam, że mnie oszukał i ma zamiar żyć jeszcze wiele lat. Ogarniał mnie poczucie wielkiego znużenia i odraza. Coraz częściej sprzeciwiałam mu się i hamowałam jego karesy, ale jego wymagania zdążyły już dzięki małżeństwu niepomniernie wzrosnąć, a poza tym był sprytniejszy ode mnie. Postanowiłam więc pić razem z nim i kilka tygodni pod rząd piłam na umór licząc się wzajemnie, w mieszkaniu panował brud jak w świątyni chlewie, a ja za dnia w ogóle się nie ubierałam, chyba że musiałam zejść do sklepu po jedzenie i alkohol.

Wykombinowałam sobie, że zaproszę gości i wprowadziłam z ulicy młodych ludzi, wólców, by z nimi piła. Legły się też w jego starej schorowanej głowie inne, okropniejsze pomysły.

— Chcę użyć życia — rechotał, aż mu błyskały złote plomby w zębach. — Ubiłaś ze mną interes i mam zamiar korzystać z życia tak, jak chce.

Gdy jednak otrzeźwiał i leżał w łóżku ciężko oddychając, a nos i policzki przybrały ciemnosiną barwę, odezwał się niskim głosem:

— Jeśli to się nazywa radość życia, wolę raczej śmierć.

Patrzył na mnie posługującym oczkami nieświeżego starca i dodał:

— Dlaczego nie umarłem, gdy był ku temu czas? To straszne gnść za życia. Straszne, gdy robaki gryzą duszę.

Oprzytomniałam wtedy, wzruszył mnie. Zaczęłam go traktować jak chorego, posprzątałam pokoje, wyrzuciłam śmieci, potłuczona kieliszki i puste butelki. Gotowałam mu smaczne potrawy i nie pozwoliłam niczego pić, poza słabym winem, bo musiał coś pić, kiedy był do tego przyzwyczajony od dziesięciu lat. Powiedział wtedy:

— Jesteś dla mnie bardzo dobra, Mair. Lepiej niż na to zasłużyłem, bo posłubiłem cię wcale nie dla tej dobroci. To moje robaki zmusiły mnie do tego.

Drżącymi, poślizgiwymi palcami obmacywał meble, które przynosiłam, by zajął myśli czym innym, a nie wyłącznie swymi robakami. I teraz badał z pomocą szkła powiększającego wzorki na nich. Wziął się w garść, dbał o swój

ZŁOTOWŁOSA

Mika Waltari

(5)

wygląd, pozwolił się codziennie golić i zabrał mnie ze sobą na miasto. Jadaliśmy w drogiej restauracji, chodziliśmy także do teatru. Był dla mnie jak chore dziecko, nie spuszczałam z niego oka, ale też nie potępiałam go już i nie czułam wstępu, zamiast tego pilnowałam, by zajmował się teraz nieszkodliwymi rzeczami, a nie jak dawniej niebezpiecznymi i wzbudzającymi odrazę.

Cieszył się mogąc mi sprawić eleganckie stroje, pozwolił mi kupić trzy drogie futra, nie oszczędzał przy tym pieniędzy, spodziewając się rychłej śmierci. Tyle chociaż miałam zadawała, bo poza tym życie u jego boku było bardzo ciężkie. Przekonałam się też, jaką władzę ma pieniądź, i to było straszne. Dzięki jego bogactwu wszyscy go szanowali, kłaniano mu się

i wprowadziło w nasze życie nieco równowagi, i chociaż on umarł, dziecko mogłoby mnie teraz uratować. Takie bezsensowne myśli tkwiły mi się wciąż po głowie, a tymczasem w pięknym i wygodnym piekle pielegnowałam chorego starca.

Odwiedzałam czasami matkę, raz nawet sprowadziłam ją, by pokazać, jak mi się powodzi. Przywiozłam ją samochodem i wprowadziłam na schodach, bo prawie zupełnie straciła wzrok. Radca starał się jak mógł, był serdeczny i uprzejmy, taki jak kiedyś, w swych najlepszych dniach. Mama trochę zawstydzona, odnosiła się do niego z szacunkiem, po kolei dotykała wszystkich ładnych przedmiotów, które mnie otaczały. Bracia jednak nie chcieli o mnie nawet słyszeć, chociaż dawaliśmy mamie pieniądze, które miały użyć ich życia. Nienawidził mnie i zadręczał obecnego życia, które moim zdaniem wcale nie było godne zazdrości.

Tak minęło nieco czasu, kiedy na posór wszystko było w porządku, ale potem stary znów stał się bardziej niespokojny i zaczął mnie dręczyć. Miał przekleństwa pod moim adresem, wciąż szukał dziury w całym i w życiu nie można mu było dogodzić. Miał kłopoty ze snem i gdy tylko zaczynało świtać, dreptał tam i z powrotem po swoim pokoju, otwierał pudełka, oglądał i głaskał swoje medale. Ale te metalowe krążki przestały go już bawić, pić coraz więcej i znów pchał w moje objęcia swoje opuchnięte wstrętne ciało. Wieczorami krążył po ulicach, nagabywał dziewczyny, a do domu sprowadzał szumowiny wszelkiej maści, by z nimi pić do nieprzytomności. Nie potrafił się temu wszystkiemu oprzeć bo siedząc w nim robaki były mocniejsze od jego zdegenerowanej woli, a lamenty i skrzyki, które okazywał będąc trzeźwym, wcale nie pomagały. Miałam do czynienia z chorem, zepsutym przez pieniądze i życie dzieckiem, ale dochodziłam coraz częściej do przekonania, że jest tylko okropnym bachorem i będzie najlepiej dla niego samego, gdy szybko umrze.

Ale człowiek nie może ciągle rozmyślać o swoim smutku i rozczarowaniach. Nadeszła wiosna, budziłam się, gdy było już jasno, i czasem nawet uśmiechałam do siebie. Zabierałam się do sprzątania, ścierałam kurze i nuciłam przy tym, bo jeśli chodzi o wiek, nie byłam jeszcze stara, choć miałam wrażenie, że przeżyłam wiele okropnych lat. Wymyślałam sobie różne zajęcia, w rześkiej wiosennej poranki otwierałam w mieszkaniu wszystkie okna, przez które widać było, jak ulice w zaciemnionych miejscach błękitniały, a w blaskach dachów odbijały się promienie słoneczne. Podobne do ludzkich uczucia budziły się także w radcy. Raz pomocawcy swoje gardło i wiszący podbródek, powiedział:

— Fui, diabła warte to moje życie, Mair. Cały czas piliem pomyśle, a teraz pali mnie w gardło.

Któregoś dnia, gdy w swych interesach wyszedł do banku, ktoś zadzwonił do drzwi. Poszłam otworzyć i ujrzałam młodą dziewczynkę trzymającą koszyk kwiatów. Zaproponowała mi kupno zawilców i kaczek. Miała jasne włosy i poplamioną spódniczkę. Przypominałam sobie własne życie i te czasy, gdy jako dziewczynka sprzedawałam kwiaty. Patrząc na nią dojrzałam w jej oczach strach i wtedy mnie także zaczęło palić w gardło. Zaproponowałam jej do środka, poczęstowałam kawą i smacznymi ciastkami, głaskałam jej miękkie włosy, a za bukietek zawilców dałam więcej niż dostałaby za cały koszyk kwiatów. Nie powinna była jednak tego robić, nie powinna jej wpuszczać do środka, trzeba ją było zwinąć, przepędzić i zatrzaskać drzwi przed nosem.

Była młodą dziewczynką, tak samo grzeczną, przejętą i niespokojną jak ja kiedyś. Wstydziła się mnie, patrzyła jednak z podziwem i z ufnością odpowiadała na pytania, gdy wypytywałam ją o dom. Miała dziecięce, promienne i zachwycone oczy, gdy mi się przyglądała. Czułam wobec niej niewypowiedzianą tkliwość, aż do bólu. Widziałam w niej własne dzieciństwo i tę całą niewinność, którą utraciłam, gdy stałam się tym, kim byłam.

Wypuściłam ją dając na drogę torebkę ciastek. Wyszyła zarumieniona na policzkach i tak rozradowana, że nie szła, tylko mimo woli podskakiwała. Miała dziesięć lat. Powinnam była wyczuć z góry, że szykuje pułapkę dla siebie, ale nie podejrzewałam nic złego, odrzucałam ją do świeżego wiosennego powietrza spadającego przez okno do mieszkanka, ulice, które w zaciemnionych miejscach błękitniały i blaskane dachy odbijające promienie słońca.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Nie mam już wiele do powiedzenia. Po kilku dniach, gdy wracając z zakupów wkładałam klucz do zamka, usłyszałam płacz dziecka dobiegający z głębi mieszkania. Przeraziłam się i w jednej chwili zrozumiałam, że nie powinnam była zapraszać tej dziewczynki do środka, bo to zważyło ją tutaj znowu i trafiła na moment, gdy byłam nieobecna. W oczach mi pociemniało, wpadłam do mieszkanka i wyrwałam dziecko z rąk starca. Przestraszona mała rozpaczliwie płakała. Koszyk z kwiatami upadł na zalaną słoncem podłogę, przywlekle bukietki kaczek wyglądały teraz jak rozsypane na parkiecie żółte plamy.

Wzięłam ją do swego pokoju, otarłam jej z policzków i pomasażowałam buzię wilgotnym ręcznikiem. Na szczęście nie stało się jeszcze nic poważnego, ale ona była tak przerażona, że nie mogła przez dłuższy czas opanować płaczu. Przytulając ją i kołysałam jakby była moim dzieckiem.

Gdy się uspokoiła, pozbierałam z podłogi bukietki kwiatów z powrotem do koszyka i zbierałam ją tłumacząc, że nie powinna nigdy wchodzić, gdy jakiś mężczyzna zaprasza ją do mieszkania. Dalać jej pieniądze, żeby mogła kupić sobie nowe buty i poprosiłam, by zapomniała o tym, co tu zaszło. Myślałam, że to nie spowodowało u niej poważnego urazu, bo w krótkim czasie doszła do siebie, udało mi się ją uspokoić. Za to o wiele gorzej mogło na nią czekać we własnym domu z powodu późnego powrotu. Ta myśl wytrąciła mnie z równowagi, gdy wyprawiałam już małą w drogę.

Radca patrzył na mnie spoode łba, speszony i przestraszony jak zwierzę, które wie, że zasłużyło na karę. Słona ciekła mu z kącików ust po granatowej brodzie, raz po raz składał w zakładki potaniutkie palce.

— Nie zrobiłem tej małej nic złego — mruknął, jakby chciał wszcząć kłótnię, która zatartaby jego wyrzuty sumienia.

— Ale ja nie dałam się sprowokować, przyniosłam mu natomiast butelkę koniaku, nalałam do dwóch kieliszków i powiedziałam:

— Masz, pijemy razem, żeby już nigdy nie zdarzyło się nic takiego nieprzyjemnego.

Był schorowanym, nieszczerliwym człowiekiem, brudy z całego życia paliły mu gardło i patrzył teraz na jego żalną postać znowu zmieklam. Powinno się go zamknąć w zakładzie, ale to jeszcze bardziej by go unieszczerliwiło, bo przynus i zamknięcie drzwi przerażały go bardziej niż co innego. Gdyby jednak dopuścić, by taka sytuacja trwała dalej, pewnego razu mogłoby dojść do czegoś strasznego i nieodwracalnego, on już bowiem nie był w stanie odpowiadać za swoje czyny, robaki były silniejsze od jego woli. Nie mogłam pilnować każdego jego kroku, starczyłoby mu jeszcze sprytu, na to by wyrwać się spod mojej kontroli i popęlić czyn, którego nie byłaby w stanie naprawić. Myśli takie przebiegały mi przez głowę, gdy patrzyłam na niego trzymając kieliszek w ręku. Koniak palił mi gardło i czułam, że nie ma przede mną żadnych przeszkód, tak jak mnie odrzucało to pierwsze od dłuższego czasu picie.

— No, pij ze mną! — namawiałam — Chleję te pomyśle! Jak się ktoś przyzwyczaił do picia tych brudów, czysta źródłana woda wydaje mu się bez smaku.

Piliśmy przez cały dzień i nie robiłam mu wymówek z powodu dziewczynki, aż w końcu wyčerpany i zadowolony pod wieczór zasnął. Czuwałam przy nim, dopóki się nie przebudził, że spi głęboko, piątkim snem i nie budzi się, chociaż nim potrząsam. Położyłam mu wtedy na głowę poduszkę i całym ciężarem ją przycisnęłam. Jego rozpadające się ciało nie było w stanie zaprotestować, tak więc umarł pod moją słabo charczącą i bezsilnie poruszającą głową.

Miałam nadzieję, że mój czyn nie wyjdzie nigdy na jaw. Lekarz też nic nie powinien zauważyć, bo stary tak dużo pił, że jego serce w tym stanie drgało jak płomyk słabej świeczki. Zastanawiałam się nad tym siedząc przy jego łóżku, wspominałam także Torstiego i całe swoje życie. Będę teraz dziedziczycielką, będę miała dużo pieniędzy, za które zaspokoję każdy swój kaprys. Myśli te jednak po pewnym czasie wprowadziły mnie w stan ogromnego przygnębienia i znużenia.

Nad ranem, gdy już ostrył, zadzwoniłam do lekarza, który się nim opiekował i znalazł stan jego serca i powiedziałam, że znalazłam właśnie męża nieżywego w łóżku. Lekarz zjawił się natychmiast, zbadał nieboszczyka, pytał, co zmarły pił i jadł poprzedniego dnia.

— Jako przyczynę śmierci wypiszę atak serca — oznajmił. — To wydaje mi się najbardziej prawdopodobne i nie myślę, żeby tu była potrzebna sekcja zwłok, bo pani mąż był moim pacjentem.

Wypisawszy świadectwo zgonu, zerknął na mnie i powiedział:

— Wypiszę za jednym zamachem coś na uspokojenie, pani tak źle wygląda.

Wstał i wziął mnie za przegub ręki, by zbadać puls. Ale gdy dotknął mego ramienia, ogarnęło mnie tak ogromne znużenie, zmęczenie i wstręt do samej siebie, że osłabiałam i zachwiałam się na nogach. Całe życie zaczęło mnie palić w gardle i bagle przyszło mi do głowy, że lepiej by się stało, gdyby ojciec zabił mnie wtedy siekierą.

— Niech pan nie żartuje — wypaliłam lekarzowi i wyrwałam rękę z jego ciepłej dłoni. — Zle go pan zbadał. Zabiłam go, bo dia niego lenie, że przestał żyć.

Usiadłam na krześle, bo ledwo stałam i mówiłam dalej:

— Proszę bardzo zadzwonić, gdzie trzeba, żeby się wreszcie uwolniła od siebie i zaznała spokoju. Już dłużej nie wytrzymam.

Zorientowałam się, że mówię poważnie. Zbadał no raz druzł nieboszczyka i zadzwonił na policję. Uwieszono mnie i skazano za morderstwo, a sędza nie donatrył się żadnych okoliczności łagodzących. Wkrótce na świat z hukiem spadła wojna i porażała wszystkich.

(Na tym kończy się druk fragmentów prozy Mika Waltariego w przekładzie Joanny Trzcińskiej-Majer, publikowanych w miesięczniku „Literatura na świecie” nr 3 z br.).

Anna Kwapisiewicz

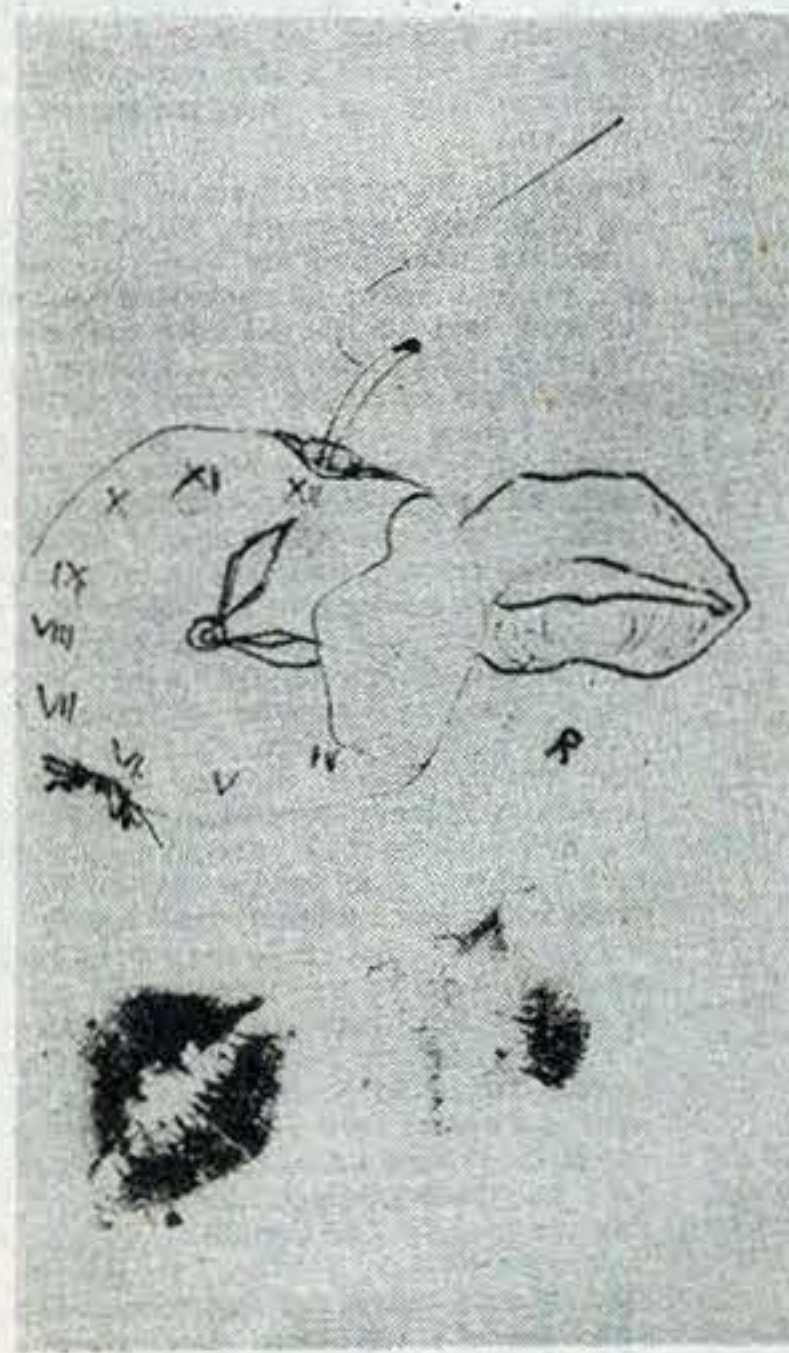
Papierowy romans

czyli List I

do G. de Kostrowitzkiego

wszystko już było kradzież Giecondy Annie Playden Marie Laurencin wymyślona i rzeczywista Mał nawet wiem że to moja kolejna zmiana warty przy tobie Gui Alkohole wyborne czytałam je w noc kiedy strzelałeś do Goethego obłączony fajetwerkami rac i aluminiowymi żebrami strąconych samolotów posyłam miarę na pierścionki proszę nie mów że są biedne przypominają zapach twojego serca nawet tutaj w Lamur słyszę — to co nie jest miłością jest czystą stratą przez Lazurowe Wybrzeże wolam nie jesteś Abelardem nie ucieknę nie przestraszę się miłości do istoty tak dziwacznej jak poeta twoja

mała wrośka



owoc godziny wysysany pestką po pestce widzisz? każde milczenie doprowadza nas do słów do gonitwy oddechów wypelnionych naszymi językami i ten dreszcz pod skórą — obecność myśli które jeszcze ukrywamy w powstrzymanej niepewności twoje oczy jakbym już cała była scalowana to tak jakbyś zmysłem pieścił moje wnętrze stęskniony akord Giessena przyciągasz mnie tą małą dziewczynkę na swoje kolana Ignę policzkiem do miękkich włosów rozpinaam pośpiessne guziki dawnego wstydu bezwolne tworzywo które poniae, za każdym dotknięciem aż naprężone niebo zabiera latouch naszych ciał w słodczy grzechu

Rys. Autorka



Krzysztof Malinowski — Scharmancki i Dariusz Skibiński — Walery w „Powrocie posła”.

Fot. JERZY SZALBIEK

Mszyca i posel



Nie wiem, jak zapisać tytuł sztuki. Czy „Złote oczy Mszyce”? a może „Złoty posel”? W programie teatralnym, który ma być rozwiązaniem problemu. Nie początki sztuki. Oni czuli, głębi bogactwa teatru do złotych oczu swojej ukończonej dziewczyny o imieniu Mszyca (konu przyszło do głowy tak nazywać dziewczynę?) potem ukończonego przystawia się w teście w małym stworzonku, ciągle jeszcze z złotymi oczami (któ tak widział?).

Dylemat związany z zapisem tytułu Mszyce (lub mszyce) może być kluczem do odczytania całego utworu. Jego autorem jest Leszek Szopa, reżyser ze szczecińskiego ośrodka telewizyjnego, autor widowisk telewizyjnych i audycji piosenek. Te pierwsze swoje sztuki piosenki napisał specjalnie dla gorzowskiego teatru, wiedząc, że jaką rolę zagra. Była to kiedyś zasadnicza forma pisanego dla teatru. Dziś — należy do wyjątkowych.

Sądę, że aktorowi jest miło, gdy wie, że autor liczy na niego od początku do końca. Ale jest w tej metodzie pewne niebezpieczeństwo: autor operuje utrwalałymi emplotami, nie zmusza go do szukania czegoś nowego i tak się chyba stało z postacią Onego, który od twarzą Wolciech Deneka. Ma być zwykłym, szarym, zagubionym człowiekiem. I jest. Ale takim samym był już na gorzowskiej scenie kilka razy, choćby w niedawnej „Pluskwie”. Zostawmy jednak na boku meandry wyjątkowości, czyli pisanie tekstu pod aktora.

Leszek Szopa nazwał swój utwór arlekinadą, nawiązując do ludzkiego widoku. Z teatralnej tradycji pozostała tu naiwność. W compendii dell'arte z góry było wiadomo, kto jest kim: Pantaleone był starym kupcem, Dottore — równie zasuszoną prawnikiem, Colombina — sprytną służącą, Arlekin czy Pierrot — komicznie służącym. Tu umowność jest zwinniejsza, bo postaci więcej, a współczesność znacznie nas (i się) pokomplikowała. Współczesna arlekinada stworzona przez Leszka Szopę nie operuje takimi oczywistościami, jak to bywało dawniej. Więcej tu myślenia, nawet swoistej filozofii, sporo melancholii, nuda poezji. Ważną rolę w przedstawieniu odgrywa muzyka, a w pamięci pozostają dobre piosenki.

Przed kilkunastu laty teatralna furorę robiły sztuki z piosenkami — Agnieszka Osiecka „Apetyt na czeresnie”, Wojciech Młynarski „Wesołego powszedniego dnia”. W tamtych sztukach fabuła bliska była rzeczywistości, piosenki nadawały zdarzeniom szerszy uogólniający wymiar. Tu jest inaczej. To, co się dzieje, jest umownością. Piosenki wnoszą konkret: np. dwa jasne kosmyki, że cienie „Przyjele”, średnia pensja, długie pozostają w pamięci, niż części inscenizowane. Bo tu nie chodzi o fabułę, o jakieś „dzianie się”. Są strzępy zdarzeń, sytuacje paradoksalne, zdarzenia niemożliwe. Każdy inaczej rozumie to, co ktoś drugi mówi i myśli, każdy inaczej odczuwa, co innego jest celem, że go marzeń... Strasznie dużo tu umowności, a piętrząc je autor nie próbował po magać odbiorcy. Rzucił mu przed oczy sytuację, wystrzelił parę myśli, okraszył piosenkami i zostawił z dramatycznym pytaniem finalowej piosenki „Jak przy średniej pensji nie stracić godności?”

Sądę, że sztuka ta wymaga dopracowania w scenariuszu, że jej czytelnicy byłaby większa, gdyby zmniejszyć liczbę wykonawców i znieść rampe. Właśnie takie sztuki o nas aż proszą się, by grać je na nosie widza, by widział stawał się jednym z aktorów odzwierciedlających tę absurdalną tęsknotę za złotymi oczami mszyce.

Już bardzo dawno nie było w gorzowskim teatrze sztuki współczesnej, sztuki w której o naszych sprawach mówilibyśmy naszym językiem. A „Mszyca” jest o nas, choć niewiele tu realiów współczesnych.

Dawno nie było sztuki z tak dużą ilością piosenek. Twórcami muzyki są Zbigniew Górny, Leszek Paszko i Janusz Stalmierski. Widać nie wie, kto jest twórcą poszczególnych piosenek. To na zyczenie muzyka, bo są nie tylko solo śpiewane piosenki, ale i sporo „chórów”, wymagają od gorzowskich aktorów zaprezentowania swoich umiejętności wokalnych. Nareszcie. Większość piosenek jest dobrze, własnie aktorsko wykonanych. Z przyjemnością słucha się Doroty Wierzbickiej, Elżbiety Dominińskiej, Mirosława Rostkowskiego i duetu głosów Tadeusza Dobrosielskiego. Scenografię przygotował Marek Lewandowski. Na czarnym tle rozgrywa się sprawa szarych ludzi ubranych w smutne płócienne, szare odzienia upstrzone czarnymi punktami (po mszykach?).

Smutne jest to przedstawienie. Smutne szarością, brakiem porozumienia między ludźmi, smutne nieczytelnością od niesień i finalową piosenką o rozbieżnościach między normalnością a średnią pensją.

Każda nowa sztuka, szczególnie o współczesności, budzi spore zainteresowanie. Dla „Mszyce” już posypały się oferty. Są to zaproszenia dla gorzowskiego zespołu, a także zamówienia dla autora i reżysera jednocześnie na następne realizacje. Niechaj „Mszyca” żyje długo i szczęśliwie, ale parę istotnych korekt bardzo by się jej przydało.

Antoni Baniukiewicz wystawił „Powrót posła” dla podkreślenia 200 rocznicy zwołania Sejmu Czteroletniego. Nie sądzę, by najważniejsza nawet rocznica była wystarczającym argumentem za wystawianiem sztuki, jeśli reżyser nie znalazł klucza do jej nowego odczytania. Jedyną nowością, jaką zauważyłam, była próba siusiania przez Starostę przodem do publiczności, ale na szczęście zauważył siedzącą za nim Starostę, więc wysiłki się za drzewem.

„Powrót posła” jest sztuką adresowaną do młodzieży. Obawiam się, że zachęcanie jej do teatru przy pomocy tej właśnie sztuki będzie bezowocne, bo młodzież znudzona z trudem wysiaduje do końca przedstawienia (nie ma przerwy). Ale również niewłaściwe jest prowadzenie dzieci ze szkoły podstawowej na „Mszyce”. Nie nie rozumieją, a to chyba jeszcze większa tragedia.

Głównym odbiorcą gorzowskiego teatru jest młodzież. Nakłada to na teatr obowiązek doboru repertuaru zgodnego z zainteresowaniami i z myślowymi horyzontami młodzieży. By nie zanudzić i nie przytłoczyć. Jak wykazuje praktyka — jest to niezwykle trudne.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Leszek Szopa — *Złote oczy mszyce*. Reż. Leszek Szopa, Scen. Marek Lewandowski, Julian Ursyn Niemcewicz — *Powrót posła*. Reż. Antoni Baniukiewicz, scen. Antoni Tośa.

Premiery obu sztuk odbyły się w czerwcu br.

ŚWIAT ABSURDU - NASZ ŚWIAT

Stłoczone były jak staroświeckie Sgraty, kurz, moje, bałagan. Katarfalk, który zapomniano usunąć po śmierci zjadaka przed zniszczeniem. Wózek z okresu niemowlęstwa Artura (Michał Switała), dziś dwudziesto-pięcioletniego. Pantofel walający się po podłodze od dnia ślubu jego rodziców. W tym surrealistycznym wnętrzu surrealistyczne postacie. Babcia (Iwona Kotzur), która nie odgrywa tu zasadniczej roli, natomiast grywa w brydża. Wujek Eugeniusz (Zdzisław Grudnia), który w podeszłym wieku przeżywa swój wielki zryw. Eleonora (Sigrid Siewior) w seksownych, czarnych koronkach, pół Dulcia, pół mecenasowa, puszczająca się cichaczem z lokajem Edkiem (Leszek Polessa). Stomil, jej mąż (Maciej Feriak), eksperymentator, wynalazca i artysta, z bruchem wylaniającym się spod rozmiętanego szlafroka.

Artur, student pięciu fakultetów, próbuje wprowadzić jakiś sens w bezsensowne istnienie rodziny („Zrobię z was społeczeństwo z zasadami!”). Chce domowników uszczęśliwić na siłę („Zamknąć i nie wypuszczać, aż znajdzie się idea!”), wtłoczyć ich w nowe formy („Gorset pomaga w każdej sytuacji!”), terrorizuje ich („Ojciec zapieć się! Babcia na katarfalk! Edek do kuchni!”) i ustawia w nowy image (wspólna fotografia).

Lecz stare struktury buntują się. Czują się źle w nowych rolach i ramach. I oto mamy bunt przeciwko buntowi! Ojciec rzywa duszacy go krawat. Matka nerwowo porusza się przed obiektywem. A babcia zdejmując kapelusz, kładzie się na katarfalkę i po prostu umiera.

Szczególne przemiany przechodzi wujek Eugeniusz. „Stój, kto idzie? Hasło?” „Odrodzenie” — słychać głos wujaszka, po czym wkracza on sam w przedwojennych getrach, obładowany kłopotami ze strychu. Staruszek przechrzta Artura, szalonego rewolucjonistę („Jakiś to metel!”). „Ale postępowe!”. Widząc, że ten ponosi klęskę („Ja się pomyliłem!”). „Myśm się pomyli!” zmienia orientację i zostaje przyboczny plebejusz Edka — gbur i chama. Z nim też tańczy na koniec symboliczne i tragiczne tytułowe tango, w takt melodii „La Cumparita”.

O czym jest ta sztuka? Gdy odrzucić nieodparcie czarującą, ale też wstrząsającą zarazem, warstwę surrealizmu, pozostaje „Tango” smutno-ironiczna refleksja o klęsce idei. O niemożności przeobrażenia zastarych konwencji.

Student-entuzjasta myśli, że uda mu się przeprowadzić stęchlą atmosferę i zmienić coś na lepsze w zapleśniałym, zastępnym pajęczyną domu. Ale przychodzi moment, że ma wszystkich przeciwko sobie — i w końcu przegrywa. Tak się kończy bunt — oraz bunt przeciwko buntowi! Bawim zwycięzcą nieoczekiwanie zostaje Edek!

Przypadek to, zrzadzenie losu — że ster w ręce bierze półnalfabeta („Ja jestem mądrością zbiorową!”), reprezent-

ujący wyłącznie siłę? Poddaje ntu się nie tylko wujaszek i Eleonora, ale także narzeczona Artura młoda, gniewna Ala („Edek to konieczność, nie można nienawidzić tego, co konieczne!”), nagle bezsensowna w białym, niepotrzebnym już welonie.

Gdyby sztuka ta napisana została inaczej, byłaby narodowym dramatem politycznym. I mimo wszystko — nim jest! Mroźek satyryk i przesławca, Mroźek dramaturg i rysownik, lekko i zgrabnie przeciąga ostrym ołówkiem po grzbietach zmurszałych systemów i zawiązywałych struktur, obnażając ich przywary.

Krok w krok za autorem podąża reżyser zielonogórskiego przedstawienia, Roman Kordziński, wspomagany przez scenografa Katarzynę Zygulską — i w efekcie powstaje spektakl bardzo dobry, w którym wszyscy, każdy szczególnie, od postaci począwszy, skończywszy na rekwizycie, narysowane i przerysowane jest celnie, czytelnie, z wdziękiem i polem.

Niektórzy mówią o starzeniu i zastarzeniu się Mroźka. Jestem odmiennego zdania. Mroźek jest ponad czasem. Dziś wręcz zdumiewa jego wizjonerstwo. Do rozważań pozostawia on nam sprawę Artura. Dlaczego oświecony i nawiedzony idealista ponosił klęskę? Zaważyła miłość? A może nadmierna ufność w wartości, które jak-że bywały względne, złudne i chwiejne?

Świat Mroźka jest absurdalny. Ale czyż nie jest absurdalne to, co nas codziennie otacza? Wszak piękno bywa brzydota, dobro zło, a to, co logiczne,



Laura (Malgorzata Wower) i Tom (Sławomir Krzywiński) w „Szklanej menażerii”, postacie wyraziste, skupione, grane z niemal bolesną wrażliwością...

może okazać się bezsensowne. Stosunki między ludźmi, czyż nie wahają się od skrajnej miłości do nienawiści? Ruchoma jest także granica między wiedzą a niewiedzą, młodością i starością, geniuszem i miernotą, prawdopodobieństwem i niemożliwością, prawdą — a po zorem, kłamstwem, żartem, wygłupem! Wszystko jest wymieszane, żyjemy wśród paradoksów, nie jest też ten nasz kraj światem absurdu?

Nietypowy trójakt: matka Amanda (Danuta Ambroz), córka Laura (Malgorzata Wower) i syn Tom (Sławomir Krzywiński). Żyją razem w skromnym mieszkaniu. Siadają co rano do śniadania przy stole nakrytym ta samą serwetą. Piją herbatę przy akompaniamencie uwagi matki, zawsze tych samych. Patrzą na zniszczone meble, pudełka, walizki.

Jest w tym domu szafa pełna starych, od dawna niemodnych sukien matki z czasów jej młodości. Czasów, do

których Amanda nieustannie i głośno wzdycha. Smuje niekończące się opowieści o szalonym powodzeniu, jakie miała będąc panną na wydaniu. Jednakże nie wykorzystwała szczęścia i nie wyszła za żadnego z tych wspaniałych, bogatych młodzieńców, posiadaczy wielu akrobów życia. Wybrała konkurenta biednego i na swoje usprawiedliwienie mówi, że zwiódł ją jego niewinna mina. Wyszła „za kogoś, kto pracował w telefonach”. Kiedy mu się znudziła, po prostu odszedł.

Dzieci słuchają w milczeniu. W pokójku unoszą się nieomal widoczne okiem niespełnione marzenia. Nie tylko matki. Także Laury i Toma. Narastają ich niepokoje. Robi się duszno. Sprawca wszystkiego zło, co jest w tej rodzinie, spogląda z ram ślubnego portretu. (Wizerunek Zdzisława Grudnia, główka przy głowce z Danutą Ambroz w wianku i ze ślubnym bukietem, bar- dzo to zabawne!)

Wszyscy troje na swój sposób skłóci- ci się z życiem. Tom znikający gdzieś- niemi matki ucieka do kina. Tam czerpi- nie nadzieję na następny dzień, w któ- rym, niestety nie wydarzy się żaden cud.

Ucieczka Laury od matczynej fanta- zji, od własnego kalektwa i włas- nych lęków, jest inna. Na komodzie stoi mnóstwo szklanych zwierzątek. Laura głodzi je, przestawia. Szklana menażeria jest jej sposobem na trwa- nie. Na życie. Aż zjawia się Jim (Ja- cek Jackowicz), ucieśnienie dziewczę- cych snów...

Prowadzona wprost narracją sprawa, że sztuka odpowiada każdemu widzowi. Lęki, obsesje, erotyzm — bo i on tu

także się błąka, to przecież właśnie to, czego widz obecnie pragnie i poszuki- je. Każda z postaci może być odręb- nym studium psychologicznym. Opus- czając teatr, ma się sporo do przemy- ślenia.

Zwłaszcza, że przedstawienie zielono- gorskie grane jest z dużą wrażliwo- ścią, co należy przypisać zasłudze reży- serskiej Krzysztofa Rotnickiego i akto- rów. Jest zwarte, i choć mówi o spraw- ach delikatnych i intymnych, niepo- zwalając tempa. Naprawdę warto je zobaczyć!

HALINA AŚSKA

Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zie- lonej Górze. Sławomir Mrozek „Tango”. Reżyseria ROMAN KORDZIŃSKI, sceno- grafia KATARZYNA ZYGULSKA.

Tennessee Williams „Szklana menażeria”. Reżyseria Krzysztof Rotnicki. Wrzesień 1988 r.

ODPOWIEDZI LITERACKIE

Jan S. Piaseczno. W Pańskich wier- szach odnajduję ciekawy sposób obrazo- wania, niebanalność skojarzeń, choć zarazem irytuje zbyt dosłowne odfoto- grafowywanie rzeczywistości i ton nad- miernego brutalizmu. Sądę, że są te wiersze dopiero brulionowym zapisem myśli, wymagającym czytelności arty- stycznej. Proszę się nie zniechęcać i nar- zucić sobie rygory estetycznego por- ządku. A to wymaga mozolnej pracy.

Robert C. Gdynia. Nadesłane teksty, niestety, nie mają nic wspólnego z po- ezją. Są zapisem Pańskich nastrojów i marzeń, próbą refleksji i zamyslenia nad sobą, ale forma tych zapisów jest powierzchniowa i strywalizowana. W każdym bądź razie nie jest to forma żadnej ze współczesnych konwencji po- etycznych, ani też w sposób świadomy nawiązująca do naszej tradycji. Stąd po- lektury Pańskich tekstów pozostają- my obojętni, nie wstrząsają nas one ani nie wzbogacają intelektualnie. Mo- że więc lepiej będzie, gdy zamieści się Pan reżyseria, wprost zaliczając wła- ściwe studia? Bo za te „Impresje po- etyczne”, jak je Pan nazywa w liście, na razie nota niedostateczna.

Waldemar S. Krosno Odrzańskie. Szanowny Panie! Z uwagą przeczytałem Pański sympatyczny i szczerzy list, w którym odnalazłem szlachetne intencje i kategoryczną potrzebę przekazania swych refleksji pełnych zachwytu nad pięknem natury. To bardzo dobrze, że

ma Pan takie wewnętrzne impulsy na- wiązania dialogu z czytelnikami, cho- ciaż — jak pisał Pan — „jestem czło- wiekiem skrytym”. Słuszna jest też myśl: „chcę udowodnić, że kochając przyrodę można być szczęśliwym, że nawet zwykły listek może przynieść ra- dosne uniesienie”. Takie założenia są bardzo piękne. Tylko, pozostaje pyta- nie, jak Pan te swoje „uniesienia” ubie- ra w szaty słów, metafor, porów- nań i alegorii? I w tym miejscu odpo- wiedź jest, niestety, negatywna. Zgodzę się, że w nadesłanych wierszach jest sil- ny ładunek emocji, wstrząs i unie- sienie euforycznych, brakuje mi nato- miast jasnej, zwartej, przejrzystej for- my artystycznej. Pan stosuje najłatwiej- szą z łatwych metod budowania obra- zów poetyckich przy pomocy stwier- dzeń oczywistych, dawno już użyt- tych, wyeksploatowanych przez wielu poetów XIX wieku. Używa Pan w tym celu słów dziś brzmiałych naprawdę archaicznie, a zestawione razem two- rzą banały, na przykład takie: „Wino z mego kielicha / Szczęściem płynie”. W tomiku „Wino, kobiety i śpiew” Ka- zimierz Wierzyński pisał o tym w spo- sób oryginalny, melodyjny i własny. Otóż, to! Brakuje Panu tego własnego tonu, brakuje troski o artystyczny kształt swoich utworów. Proszę jednak nie rezygnować, pracować nad środka- mi artystycznego wyrazu, czytać wiersze dobrych poetów. I za pół roku na- desłać mi swoje nowe teksty.

Józef W. Bydgoszcz. Fraszkli są zgrab- ne, zwarte mocno związane z życiem współczesnym. Niestety, nie skorzysta- m z nich, bowiem „Nadodrże” nie publi- kuje tego typu utworów.

Anna, Brak adresu. Dwa nadesłane wiersze (dlaczego anonimowo?) — „Wy- chodzą z ziemi pierwsze tchnienia” i „Cisza” są nieprzejętnymi próbami uchwycenia urody świata i poety- ckiej zadumy. Są to jednak utwory je-

szcze bardzo naiwne, choć znalazł w nich można ładne wersy np. „apaszki motyli”, „szybują dzieci nad boiskiem / promienie drzewki”. Myślę, że au- tora tych tekstów umie obserwować przyrodę, doceniać jej urok i zamys- lać się nad przemianami czasu. Warto pracować więc nad rozwijaniem swe- go talentu.

Henryk K. Zary. Przepraszam za moc- no opóźnioną odpowiedź. Dziękuję za nadesłane wiersze. Pisz Pan na wste- pie swojego listu: „Zawsze bardzo mi- łał tych wszystkich autorów (najpew- nie) przeważnie młodych), którym u- dzielił. Pan surowych opinii poetyckich”. Proszę Pana, moje opinie nie- zawsze są surowe i arbitralne w oce- nach, albowiem nie ma ludzi nieomy- lných. A także — niesłychanie trudno ocenić możliwości jakiegokolwiek autora, ma- jąc do wyboru jego kilka zaledwie ut- tworów. Tak więc, niniejsze odpowie- dzi nie zawsze muszą być obiektyw- ne. Zgodnie z zasadą lekarską, w pierwszym rzędzie staram się nie szkodzić, potem dopiero stawiam diagnozy. Diagnozy, które z pewnością wystraszą z moich także subiektywnych przeswła- dzeń i odczuć. Ale powracając do Pań- skich utworów: zachwyty nad kamień- ską katedrą i pobrzmiwającą w niej wzniosłą muzyką są autentyczne ali- cje spisane dosłownie, bez przekształce- nia ich w formy poetyckie, banalem- trającą takie opisy, jak „runęła la- wina puzonów, trąb i rogów”, „zatrze- potało u sklepienia”, „sypnął dzwika- mi”, „te pocierzały murach”. To właśnie jest ta dosłowność, z której bu- duje Pan obrazy, a której środki ali- cji nie są pierwszej świeżości. Do- stęwność i wytarte słownictwo — oto podstawowe mankamenty Pana wierszy. Może spróbuje Pan raz jesz- cze zająć się tymi tematami?

ZŁ.

Seks i schizofrenia

„Reżyser Norman Mailer, który od dziesięciu lat nie zrobił żadnego filmu, zdecydował się teraz zawrócić starym wzorcem i w rezultacie stworzył obraz, który zaspokaja najniższe ludzkie instynkty.” Tak ocenia Główna prasa zachodnia film, którego tytuł w przekładzie dosłownym brzmi „Twardzi mężczyźni nie tańczą”.

Jest tu wszystko, co lubi przeciętny widz lat 80-tych, a więc dreszczyk oczekiwania, mord, mistycyzm, seks i pełna krwista kobieta, oraz pierwszej klasy obsada aktorska. Główną rolę grają przystojny Ryan O'Neil (bohater niedawnych licznych skandali podczas burzliwego życia z „Aniolką Charliego” — Farah Fawcett) oraz piękna Isabella Rossellini do niedawna jeszcze modelka, córka sławnych rodziców — legendarnej, nieżyjącej już Ingrid Bergman i włoskiego reżysera Umberto Rossellini.

Czy bohater jest schizofrenikiem i mordercą? Co weźmie górę w bohaterce: seks czy serce i intelekt? Reżyser długo zwleka z odpowiedzią na te oraz inne pytania, dreszcząc widza od początku. Ale pomimo starannie przygotowanej pointy, widz zostaje leciutko rozczarowany, niestety...

Morderca w Pentagonie

Oko kamery miękko przesuwają się po Kapitolu, potem nad Potomakiem i bogatą dzielnicą Waszyngtonu. Zatrzymuje się wreszcie na pięciokątnej koloście Pentagonu. W tym szczególnym budynku siedzą zaufani najwyższej władzy w kraju: umundurowani „długoręczni”. Tutaj też uknuwane są intrzygi i układane rozmaite wersje tych samych prawd i zdarzeń w zależności od potrzeby.

Główny bohater filmu grany przez Kevin Costnera, ma trudne i niebezpieczne zadanie. Musi odnaleźć mordercę pewnej kobiety. Rzecz w tym, iż wie on doskoła, że mordercą jest zasiadający w Pentagonie jego szef — minister wojny, człowiek ogólnie znany. Ale czy ktoś w to uwierzy?

Sytuacja komplikuje się, a sieć podejrzeń zaciska się wokół szyi Kevina. Czy zdoła on wyplatać się z tego wszystkiego?

Ten znakomity thriller w oryginale nosi tytuł „No way out” czyli „Nie ma powrotu” lub „Bez powrotu”. Reżyseria Roger Donaldson. Poza Costnerem grają: Sean Young, Will Patton oraz dobrze u nas znany Gene Hackman.

Z TEK! PROKURATORA

Sposób na benzynę...

Z benzyną bywa różnie. Kartkowe przydziały nie zawsze są wystarczające, zaś tzw. benzyna komercyjna, choćby ze względu na rzadkość punktów jej sprzedaży, jest trudno dostępna. I to rodzi okazje do przestępstwa.

Andrzej M. właściciel samochodu Audi 100, któremu rodzaj zajęcia przysparzał często kłopotów z uzyskaniem potrzebnej ilości paliwa, postanowił je rozstrzygnąć w pozornie prosty sposób. Zgłosił mianowicie rzekome zagubienie dowodu rejestracyjnego samochodu i otrzymał jego duplikat. Ubezpieczenie komunikacyjne płacił w dwóch ratach, ale obie wpłacił w terminie do 31 marca. W ten sposób uzyskiwał dwa „potwierdzenia dla wpłacającego”, w których nie odnotowywał się, której daty dotyczy wpłata. Mając więc dwa dowody rejestracyjne i dwa potwierdzenia...

Diabeł wcielony

Maruschkę Detmers widzieliśmy do tej pory tylko raz, w serialu telewizyjnym „Via Mala”. Na Zachodzie jest obecnie gwiazdą popularną. W kinach RFN oraz w wypożyczalniach kasety video można ją oglądać na wielkich ekranach z filmu „Diabeł wcielony”. W filmie tym, reżyserii Marco Bellocchio, Maruschka Detmers głupio się śmieje, głośno gada i tłucze zastawę stołową. Nie jest to jej najlepsza rola.

Film opowiada o miłości niedozwolonej. Uczeń zakochuje się w kobiecie dojrzałej, z wzajemnością. Jest to druga wersja tej samej opowieści. W poprzedniej wersji główne role grali Michelangelo Preci i Gerard Philippe.

W filmie tym nie brakuje, rzecz jasna, seksu, zwłaszcza jedna scena jest bardzo, bardzo seksualna... Jednak zdaniem krytyków zachodnich nie jest to film do bry Piszają oni, że „Marco Bellocchio, nie gdyś utulenie włoskich lewicowych radykałów zrobił film, który nie przyniesie mu satysfakcji”.



Isabella Rossellini, do niedawna modelka, córka sławnych rodziców...

Wojna i miłość

Rok 1776 w Ameryce. Wybuch wojny na niepodległość. Wojsko formuje się w pośpiechu, przeciwko brytyjskiej władzy kolonialnej. Na tym tle reżyser Hugh Hudson przedstawia dzieje trapeza z Północy Toma Dobba, który doświadcza wielu nieszczeń. Jego łódź zostaje zarekwirowana, a syn Ned wstępuje do rekrutów.

Miotani przez los obaj Dobbowie do czekają końca wojny, ale Tomowi urzę...

dy odmawiają obiecanego odszkodowania. Pociąg jest odnalezienie pięknej i dobrej Daisy, panny z dobrego i bogatego domu, która pomimo zaprzyjaźnienia jej rodziny z brytyjczykami, od początku stała po stronie rebeliantów i dzielnie im pomagała.

Toma gra Al Pacino, Daisy — Nastassia Kinski. Świetny Donald Sutherland w roli kostycznego, łodowego brytyjskiego oficera. Film ten, zatytułowany „Revolution” opowiada o początkach USA i rodzącym się patriotyzmie. Dobre aktorstwo, wartka akcja.

Bóg na to patrzył

Mendoza, były handlarz niewolnikami, po zamordowaniu z zazdrości swego brata, wstępuje do zakonu Jezuitów, aby odbyć pokutę. Ma za zadanie przeprowadzić grupę misjonarzy przez kolumbijską dżunglę.

Film zatytułowany jest „Mission”, a wyreżyserował go Roland Joffe, według powieści Fritza Hochwaldera pt. „Świty eksperyment”. Zgodnie z intencją autora książki, reżyser postąpił dość przewrotnie, każąc dobru okazać się złem, które w dodatku zwycięża.

Przedstawiciele kościoła okazują się mordercami, wyzyskiwaczami i oszustami, zaś ci, którzy wierzą w Boga na prawdę i postępują zgodnie z jego przykazaniami, przegrywają wszystko, łącznie z życiem. Nie też dziwnego, że kiedy film się kończy, widz myśli poważnie, czy nie został ateistą...

W roli Mendosa Robert de Niro, pamiętny „Taksówkarz” i „Ojciec Chrzestny II”. W pozostałych rolach: Jeremy Irons, Ray McAnally i inni. Świetny, wstrząsający film. Być może jeden z wielkich filmów naszego czasu.

Melodramat kolonialny

W Londynie obrona przeciwlotnicza strzela do niemieckich bombowców, a w Nairobi strzelają korki szampana. Podczas, gdy w Europie krwawo toczy się II wojna światowa, brytyjska arystokracja kolonialna bawi się do upadłego.

W Countryclub „Harem” pełnym rozkapryszonych i żądnych rozrywki lady, królują przystojniak Joslyn Hay. Ten młody człowiek podoba się damom i zaspokaja ich pragnienia. Aż nagle pojawia się piękna Diana — młoda żona starego lorda — i Joslyn zakochuje się w niej bez pamięci.

Pewnego dnia zostaje znaleziony martwy, z kulą w głowie. Pastelowy romans w egzotycznym tle, zamienia się w ponury kryminał.

Grają: Greta Scacchi, Charles Dance, Joss Ackland i Sarah Miles. Film ten jest alegoryczną pieśnią o erze kolonialnej. Westchnieniem do przeszłości. Po obejrzeniu zostaje widzowi posmak melodramatu.

EWA FOSS

Referendum w Słubicach

W Słubicach odbyło się pierwsze w kraju lokalne referendum w sprawie rozdysponowania 70 mln zł uzyskanych przez miasto i gminę jako nagrody za zdobycie tytułu krajowego Mistrza Gospodarności. Wzięło w nim udział 7.394 mieszkańców, tj. 62,2 proc. uprawnionych do głosowania, którzy musieli odpowiedzieć na trzy pytania dotyczące owej sumy: czy przeznaczyć ją na rozbudowę bazy oświatowej, na budowę hali widowiskowo-sportowej, czy też na budowę domu spokojnej starości? Za przeznaczeniem pieniędzy na rozbudowę szkół opowiedziało się 46,7 proc. głosujących, na budowę hali sportowej 32,6 proc., na budowę domu spokojnej starości 11,8 proc. W taki sposób przeznaczenie całej kwoty na rozbudowę szkół zostało przesądzone. Referendum, któremu przydano uroczystą oprawę, było pouczającą lekcją demokracji.

Dni prasy ludowej

Wojewódzkie uroczystości z tej okazji odbyły się w tym roku w Bytomiu Odrzańskim. W spotkaniach z czytelnikami uczestniczyli dziennikarze z „Dziennika Ludowego” i redakcji rolnej zgłoszeni PR w Zielonej Górze. W województwie zielonogórskim rozprowadza się ponad 30 tys. egzemplarzy różnych tytułów prasy Wydawnictwa ZSL. Największą popularnością cieszą się „Tygodnik Ludowy”, „Dziennik Ludowy”, „TIM”, nie brak też czytelników „Zielonego Sztandaru”, „Tygodnika Kulturalnego”, „Sceny”, „Wieści” i „Wsi Współczesnej”. Święto ludowej prasy zbiegło się z początkiem obchodów 700-lecia miasta. Uświetniło je okolicznościowe sympozjum z udziałem doc. dr. hab. Władysława Korczy, występy zespołów artystycznych z Bytomia Odrzańskiego, Wierzbicy, Bojadeli, Nowej Soli, Brzeżnicy i Lubuskiej Brygady WOP. W programie był także kiermasz handlowy, wystawa rękodzieła artystycznego i festyn rekreacyjno-sportowy z loterią, z której dochód przeznaczono na rozbudowę miejscowej szkoły.

Rolnicze targi

W Zielonej Górze na Chynowie odbyły się VII Rolnicze Targi — Jesień '88. Ponad stu producentów, wśród nich podległych Zrzeszeniu Przemysłu Ciężnikowego „Ursus” a także 40 wytwórni z kilkudziesięcioletnią tradycją produkcji dla rolnictwa, skupionych w Zrzeszeniu „Meprozet” w Poznaniu, POM-y, rzemieślnicy i firmy polonijne — przedstawiły bogatą ofertę maszyn, narzędzi rolniczych, części zamiennych, materiałów budowlanych. Wśród nowości zwracały uwagę energooszczędne piece umożliwiające spalanie niemal wszystkiego. Zawarto kontrakty handlowe na dostawę w roku bieżącym i przyszłym towarów wartości ponad 9 mld złotych. Tylko WZGS w Zielonej Górze zakupił maszyn, narzędzi rolniczych i inne wyroby na sumę 1 mld złotych. Targi połączone były ze sprzedażą mieszkańcom Zielonej Góry i okolic owoców, warzyw i ziemniaków.

Złot Zielonogórskiej

Chorągwi ZHP

Trwał trzy dni, był bogaty w różnorodność imprez i harscerskie gry. Sztandar chorągwi udekorowany został przez zastępcę Naczelnika ZHP hm. PL Władysława Gutę „Krzyżem za Zasługi dla ZHP”. Na to odznaczenie Chorągwi Zielonogórskiej zasłużyła sobie nowatorskimi formami pracy z zastępowymi i przyboczni, organizując jedyną w kraju specjalistyczną szkołę „małej kadry” w odrestaurowanym własnym Wysiłek pałacu w Trzebiechowie. Także „Harcerska Wiosna Kulturalna” organizowana od trzech lat w Zaganiu uznana została za niezablonową formę pracy w młodzieżowym ruchu kulturalnym. Szczególnie wysoko oceniono wkład zielonogórskich harcerzy w wychowanie patriotyczne. Temu celowi służyły zloty „Harcerskiej Służby Granicznej” i za początkowanie ruchu HSG w kraju, rajdy „Szlakiem strażnic WOP” oraz wkład zielonogórskich instruktorów w opracowanie zasad nowej sprawności duchowej „Wopista”. Zielonogórska Chora-



giew ZHP nosi imię Wojsk Ochrony Pogranicza.

40 rocznica ZMP

Z tej okazji odbyło się w Zielonej Górze spotkanie byłych działaczy powojennych organizacji młodzieżowych istniejących do chwili zjednoczenia ruchu młodzieżowego w 1948 roku oraz tych, którzy lata swej młodości związali ze Związkiem Młodzieży Polskiej. Organizatorem spotkania była zielonogórska organizacja ZSMP, która jest spadkobiercą tradycji lewicowego nurtu ruchu młodzieżowego. Zasłużonym działaczom wręczono odznaczenia państwowe i organizacyjne. O powstaniu i działalności ZMP w Zielonogórskim mówili: dr Stanisław Lechowski z WSP, Michał Popławski i Piotr Stecko, były I sekretarz KW ZMS w Zielonej Górze. W klubie „Lumel” odbył się wieczór wspomnień.

Jubileusz „nafciarzy”

Już 20 lat pracownicy Zielonogórskiego Zakładu Górnictwa Nafty i Gazu poszukują... i znajdują te cenne surowce. W ciągu 20-lecia załoga ZZNG odkryła i udokumentowała 400 tys. ton ropy naftowej oraz ponad 80 mld m. sześć. gazu. Rozwój badań geologicznych na środowisku Nadodrza datuje się od 1955 roku. 11 listopada 1961 r. odkryto tu pierwsze złoża ropy w miejscowości Rybaki k. Krosna Odr. Później były złoża gazu i ropy w okolicach Nowej Soli i Otynia. W rezultacie tego a także w celu zintensyfikowania badań w 1968 r. powołano do życia Przedsiębiorstwo Poszukiwań Naftowych w Zielonej Górze.

Co z kioskami „Ruchu”?

Pośród 682 kiosków w województwie zielonogórskim aż 123 jest zamkniętych, bo nie ma sprzedawców. Ludzie nie mogą kupić prasy, biletów autobusowych, papierosów i innych drobiazgów, które zawsze dotychczas kupowało się w kioskach. Problem w zarobkach pracujących w nich ludzi. Kiedyś uzależniono je od obrotów. To był handel. Parę lat temu uczyniono z kiosków urzędniczych. Dopiero teraz w obliczu rysującej się klęski tej formy sprzedaży zdecydowano się na powrót do prowizji, uzależnionej od obrotów handlowych. Bo to jest, a raczej powinien być handel. Zmian na lepsze jeszcze nie widać. Oczekujemy na nie z niecierpliwością.

Stilon - dyskiety

Po uruchomieniu z początkiem br. w Zakładach Włókien Chemicznych w Gorzowie produkcji wideokaset przyszła kolej na poszukiwanie dyskiety do mikrokomputerów. Zapotrzebowanie na nie szacuje się obecnie na ok. 3,5 mln sztuk, za dwa lata będzie ono dwukrotnie większe. Przewiduje się na razie montaż dyskiety z elementów importowanych. Podpisano już jednak umowę między „Stilonem” a Urzędem Postępu Technicznego i Wdrożeń, który patronuje temu przedsięwzięciu. Przewiduje ona dostawę dyskiety 5,25-calowej, najczęściej stosowanych w mikrokomputerach, już z początkiem przyszłego roku. W 1990 r. ich produkcja ma osiągnąć 2 mln sztuk. Z czasem elementy importowane zastąpione zostaną w nich krajowymi. W tej dziedzinie „Stilon” prowadzi współpracę z kilkoma przedsiębiorstwami w kraju.

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bonaterra 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra 8, skrytka pocztowa 40. Telefon: redaktor naczelny 705-35, sekretariat 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dla telefonów wewnętrznych). Telex 6132253. Redaguje kolegium: Halina Anskarabek, Janusz Komusz (red. naczelną), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.). Kolo-

redakcja: Maria Fiedorowicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-812 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Piśkiewicz, tel. 717-35. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-024 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i zdjęcia) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 809

Z-20

Nie widać reformy

Przełomy sierpieniowo-wrześniowe zamocowały się w naszel najnowszej historii. Zbieżność okresów lub choćby tylko ich podobieństwo zauważył A. Miodowicz na niedawnym VIII Plenum KC. Przypomnieli, że partia po raz trzeci podejmuje ważne problemy związane ze stylem swojej pracy, właśnie na kolejnym VIII Plenum Feralne lub jak kto woli szczęśliwie ośmieli wyznaczenia także nasi sąsiedzi z południa. Bo to i rok 1948, 1968 i 1988. Nie sięgając do innych przykładów wymienimy jeszcze datę 8.8.88, który to dzień oczekiwany był przez nowożeńców na całym świecie jako najwłaściwszy dla zawierania szczęśliwych związków.

W polityce nie ma zbrodni, są tylko błędy. Nie tylko Talleyrand wpisywał tę zasadę na karty historii. Cechą argumentów, jakie padają dzisiaj w naszym kraju, jest niekiedy ich wielokrot-

na sprzeczność i liczne niedopowiedzenia. Janusz Onyszkiewicz wypowiadając się wobec przedstawicieli prasy amerykańskiej w trakcie niedawnego tournée do Waszyngtonu, nawiasem mówiąc z małżonką, uznał za konieczne w obecnych polskich warunkach co najmniej dwumilionowe bezrobocie. Reaktywowana „Solidarność” miałaby być gwarancją niekonfliktowości tego zjawiska. W tym samym czasie robotnicy szczecińskiego portu demonstrowali pod emblematami „Solidarności”, zagrożeni utratą pracy, radykalizując swoją postawę, a w momencie zawierania porozumienia z dyrekcją skandując głośno „chcemy pracować...”. Czyżby niekonsekwencja? Po stulat bezrobocia wypowiadany wobec załóg robotniczych grozi w Polsce radykalizacja nastrojów.

Obóz rządowy na odmianę optuje ostatnio coraz mocniej za gospodarką

rynkową, proponując na początek demopolizację skupu i przetwórstwa rolnego. Reforma ta musi prowadzić do wzrostu cen, jest słuszną, ale trudną do przeprowadzenia. Dodajmy, że problemy cenowe operacji są nieodpowiednie, tworząc złudne nadzieje na obfitość przy stałej cenie. Tymczasem robotnicy Cegielskiego w Poznaniu desperowani długim czekaniem na efekty mówią zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa i członkowi Biura Politycznego KC PZPR — Kazimierzowi Barcikowskiemu: „Kurde — nie widać reformy”.

Poruszamy się między skrajnościami. Co nasi ojcowie uważali za mądrość, my z kolei za głupotę. Tymczasem gospodarka goni do swego inflacyjnego załamania.

20 września 1988 roku.

JERZY MENDYK

okolicach Złocień

Kontredans

1 Wszystko zaczęło się od tego, że znajomy mój postanowił zakupić kłosek warzywno-owocowy w Zielonej Górze, czyli innymi słowami — uru chomic własny interes, w którym nie byłby zmuszony do „czapkowania” ponom dyrektorem i prezesem” czy innym ludziami o zwiniętych karierach. I zamiast tej codziennej szopki, wykazał by się tu własną inicjatywą, samodzielnie niosąc, czując, że wynagrodzenie za pracę zależeć będzie wyłącznie od niego samego, a nie od np. faktu, czy strajkował, czy będzie czy w ogóle strajkować w PRL nie będzie. Ale to, co napotkał na owej drodze legalizacji przedsięwzięcia, było — mówiąc bez przesady — drogą przez mek, drogą co chwilę przeżywaną wątpliwość, wahań, złożeń... I o to dobrze powiedział: gdybyśmy obojście ja, Jelinek, odpowiedzialny był za funkcjonowanie i organizację pracy urzędów państwowych, szczególnie Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze — ra tując swój honor — podałbym się, natychmiast do dymisji! O votum nieufności nawet w tym miejscu niemożliwością byłoby mówić.

2 Znajomy mój naraz został wepchany w kocioł normalnych przepisów, sformalizowanych nakazów, i jeżeli chciałby zachować się w porządku wobec własnego sumienia — powinien popełnić samobójstwo. Urząd Skarbowy Państwowy Terenowy Inspektorat Sanitarny, Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług, Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami, Wydział Handlu i Usług, w końcu kserokopie — to punkty wzajemnie się zaciebiające. Sam champion w układaniu kostki Rubika nie polapałby się w jakiejś to giczej kolejności należy ułożyć owe punkty. Nad rozsądkiem, kompetencją, rzetelnością i szczegółową informacją — w zielonogórskich urzędach zapanował chaos, przypadkowość, „widzimy się” re-

ferentów, zupełny zanik organizacji pracy. Żąda się co małego kroczek — stosu znaczków skarbowych, podan, próśb, zaświadczeń, wyjaśnień. Nie żada się tylko, dzięki ci święty Boże, za świadczenia stwierdzającego, iż dany petent nadal jest obywatelom PRL. Urząd Skarbowy arbitralnie zmienia kwotę na umowie kupna, bowiem „my wiemy lepiej, ile co może kosztować”, i od tak zmienionej ceny nalicza opłatę skarbową! Teraz dopiero zrozumiałem mechanizm cen czarnorynkowych. O Zrzeszeniu PHU można ciągle mówić, że działa ono w oparciu o nadal obowiązujące ustawy z epoki króla Cieciszka. Przesłano tutaj dawno już marzyć o ustawie o podejmowaniu działalności gospodarczej. Jedynie w PTIS petenta potraktują jak człowieka, a nie malwersanta czy zbiega z innej planety. Lecz tak naprawdę, marsjaninem poczuje się w „świecistym wieżowcu” Urzędu Miejskiego. Tutaj dopiero dorwać twój organizm wszelkie obsesje. Waleń się głową w ziemię, myśląc, że może jeszcze się podniesiesz, ale nie okłaniesz cały.

3 Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami. Oto kompetentna osoba, w gestii której jest sporządzanie umów dzierżawnych, przebywa na urlopie, i nikt inny nie może jej zastąpić. Jest to szczyt doskonałości. Kiedy owa kompetentna osoba powraca i po kolejnym kilkudniowym oczekiwaniu otrzymujesz wreszcie stosowną umowę, to okazuje się, że kolejna kompetentna osoba, tym razem w Wydziale Handlu i Usług na urlopie i nikt, w całym wydziale, w całym budynku, łącznie z panią Prezydent Miasta — nie może jej zastąpić! Urzędniczkę sprawują wrażeń, że przed chwilą przybyły z Marsa i nie wiedzą, co się dzieje na Ziemi. Aha, za to z godną podziwu gracją ma-

newrują ze szklankami na zatłoczonych korytarzach biurowca... Wreszcie kompetentna osoba powróciła (niestety, urzędniczy zielonogórscy nie posiadają plaketek identyfikacyjnych, przeto do końca nie wiadomo, z kim petent rozmawia), i należało zacząć jeszcze tydzień na pomyślnie-sfinalizowanie sprawy, bowiem, co jest zrozumiałe, narosła teżka „spraw do załatwienia”. Ze szczytów papierzyśk można było ułrzeć Statuę Wolności. Kiedy upłynął tydzień, okazało się, iż kompetentna osoba przebywa na zwolnieniu lekarskim, i nikt inny, w całym wieżowcu... etc. Po kolejnym tygodniu sytuacja o tyle się zmieniła, że urzędnik jest i akta sprawy są, ale nie dalej zrobione nie będzie, bowiem dokumenty wystawione są na nazwisko żony i ona, tylko ona, ona sama powinna je osobiście odebrać, a nie żaden pośrednik, czyli mąż. Ponadto należy tydzień kolejny odczekać, ponieważ tylko raz w tygodniu wydawane są zaświadczenia uprawniające do prowadzenia działalności handlowej...

4 I koniec na tym. Kończy się sprawa, bo i mój znajomy sfrustrowany jak na warunki polskie przystało. A niedawno przecież Prezydium Rządu znów omawiało metody usprawnienia obsługi interesantów przez urzędy administracji państwowej. Co pewien czas i inne gremia, łącznie z KC, podejmują ów temat. Jednak biurokratyczne struktury pozostają bez zmian, bowiem cechą naszą jest przeciwna skłonność do działań typu akcyjnego, które idą głównie w kierunku prowadzonym jeśli nie donikąd, to w stronę efektów spektakularnych. Śmiejemy się z tego, rzecz oczywista; no to śmiejmy się jeszcze bardziej, aż do upadłości.

ZBIGNIEW M. JELINEK

McRGINAŁKI

TALONY NA SAMOCHODY. W „Mieszaneczce prasowej” („Szpilki” nr 38) czytamy: „Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne w Nowej Soli — zakład wcale nie taki mały — otrzymały w lipcu jeden talon dla załogi na Fiat 126p. Czy to nie przesada, żeby Ministerstwo Przemysłu, oprócz swoich normalnych obowiązków, uprawiało jeszcze działalność humorystyczną? Nie, to nie przesada. Przecież stan całej naszej gospodarki skłania do śmiechu „przez lzy”.

TYLKO ZA DOLARY. W „Mieszaneczce prasowej” („Szpilki” nr 39) informacja: „Dyrekcja Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Zielonej Górze załadowała od pocztowców 15 dolarów za metr sześcienny słupów telefonicznych. Pocztowcy osłupili od czego jednak telefonów nie przybyło”. Niedługo przybędzie, lecz zapewne tylko za dolary. Z bezpośrednim połączeniem z Waszyngtonem.

ŚWIĘTO ROLNICZEGO TRUDU. Ryszard Giedrońc („Fakty” nr 40) słusznie zwraca uwagę na udział ZSMP w tradycyjnych dożynkach. „Nie da się ukryć — pisze autor — że taki ZSMP może być dziś kuźnią kadr. Budującym przykładem są dożynki, które odbywały się w Makroregionie Południowo-Zachodnim. W Birnie general Sawa Maung sposobił się do przejęcia władzy, gdy w Ślubicach od rana tony kufajników i oberków przepłatyły się z folklorem miejskim, a nawet jazzem i brzmieniem orkiestr dętych. Jak doniosła miejscowa prasa święto rolników województwa gorzowskiego zaczęło się od kameralnej uroczystości. Władze spotkały się z rolnikami i przedstawicieli-

cieli rolnictwa i jak to w takich przypadkach bywa posypały się ordery, medale, odznaczenia i tytuły honorowe. Po tej części Święta Pionów ulicami na miejsce dożynkowych obrzędów ruszył barwny korowód. Potem jak każda tradycja głos zabrał sekretarz. Starostowie przekazali bochen chleba z tegorocznego zboża przedstawicielom załóg ślubickich zakładów pracy. Sekretarz, jeszcze wyższy rangą od poprzedniego, podziękował wszystkim, którzy wnieśli trud w zebraniu tegorocznego pionów i scenę opławiła młodzież. Ponad godzinę trwało samo oświetlanie dożynkowych wieńców, ale jakby nie dość było atrakcji zgromadzeni na trybunach goście podziwiali li popisy uczniów, biorących udział w II Przeglądzie Dorobku Artystycznego Szkół Rolniczych wspomnianego makroregionu. Nie będę krył, że na tym się atrakcje ślubickiego Święta Pionów nie skończyły. Zabawa ludowa pod gołym niebem też młodzież musiała kosztować sporo wysiłku. (...)

Tak każda tradycja, a na Młodzieżowym Święcie Pionów, organizowanym w Kargowej (...) przez młodzież ZSMP województwa zielonogórskiego, tradycji musiało się stać zadość. (...) Co tam się działo, nie będę cytował, bo młodzi, jak to młodzi, swawolili już sobie od zóstej rano do późnych godzin nocnych. Pokaz mody przygotowała Młodzieżowa Spółdzielnia „Arka”. Wszystko było jak na prawdziwych dorosłych dożynkach. W rytmach folkloru i przy akompaniamencie orkiestry dętej Straży Pożarnej z Babimostu. Wystąpili goście z Kazachstanu i Turcji. Zadanych tam młodzieżowych rytmów i defetyzycznych piosenek, zwiadowanych kapel z Jarocina. W niedalekiej przyszłości chłopaki z ZSMP powołają młodzieżowy parlament, a w doborowym towarzystwie to i jakiś sensowny rząd koalicyjny da się skłócić... Kto nie sieje a zbiera... — czyżby taką dewizę wybrał

lubuski ZSMP? Autor nazwał swój felieton tak: „Gabinet młodych cieni”. Za łazek przyszłej drugiej izby parlamentu?

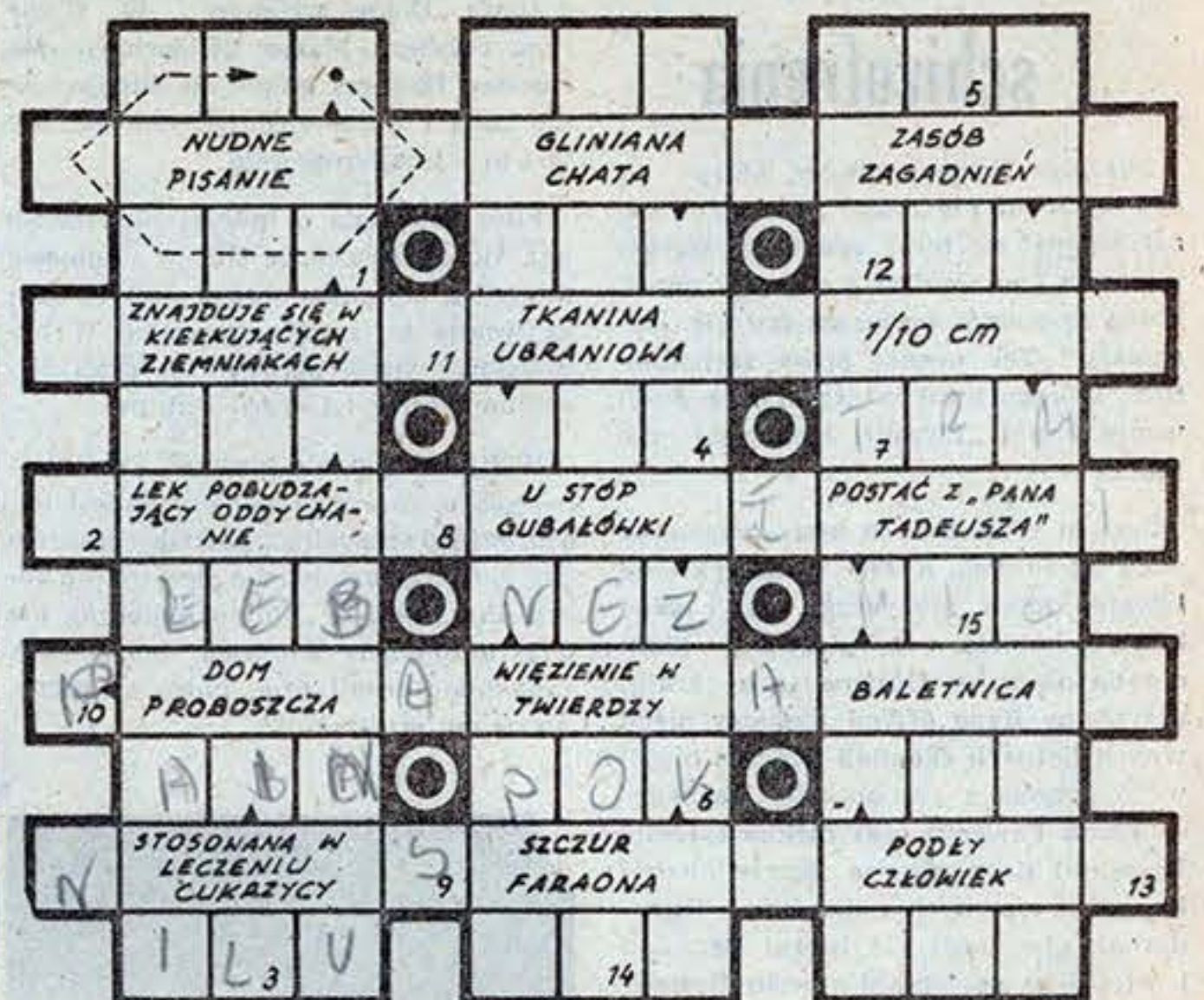
WYZNANIA POETY. Jerzy Harasymowicz w rozmowie z Markiem Sarsusz-Wolskim („Przegląd Tygodniowy” nr 40) ujawnił, iż jest zwolennikiem Narodowej Demokracji, adoratorem według niego niesłusznie przemilczanego Ryma Dmowskiego, zaś o wzbierającej fali kultu Piłsudskiego powiedział: „Ceny wciąż idą w górę i jakoś nie można sobie z tym poradzić, więc odkurza się Piłsudskiego, by przynajmniej „na odcinku igrzysk” nie pozostawać w tyle”. Poeta z Muszyny ma poczucie realizmu!

KOALICJA PO GORZOWSKU. W tym samym n-rze „Przeglądu Tygodniowego” publikacja Andrzeja Cudaka pt. „Teczka z demokracją”. Autor opisuje przebieg wyborów wojewodów, którym w rezultacie został członek Stronnictwa Demokratycznego. Oto dwie konstatacje: „Błędy w polityce kadrowej wytykano tu od dawna palcami i nie było reakcji. Co więcej, władza sądziła, że wszystko jest w najlepszym porządku. (...) — To prawda, że nikt nie lubi dzielić się władzą, cholernie nie lubi — uważa przewodniczący Rady Wojewódzkiej PRON w Gorzowie Tadeusz Biczysko. — Obecnie jednak można coś zrobić tylko w układzie koalicyjnym”. Gorzowskie jest pierwszym województwem jak dotychczas w kraju, które to zrozumiało...

ALKOHOLOWE DYWAGACJE. Jak do nosi Eligiusz Ristau w „Szpilkach” (nr 39), w Świebodzinie pojawiły się afisze — obwieszczenia, zakazujące spożywania alkoholu w rejonie siedmiu ulic i placów. Miasto ma zaś blisko 100 ulic. Czy na pozostałych wyłączonego ruch drogowy, aby nie i nikt nie zakłócało spokoju pijaczkom?

nadodrze

Rozrywki umysłowe



WIROWKA PANORAMICZNA

Opis: „CEM”

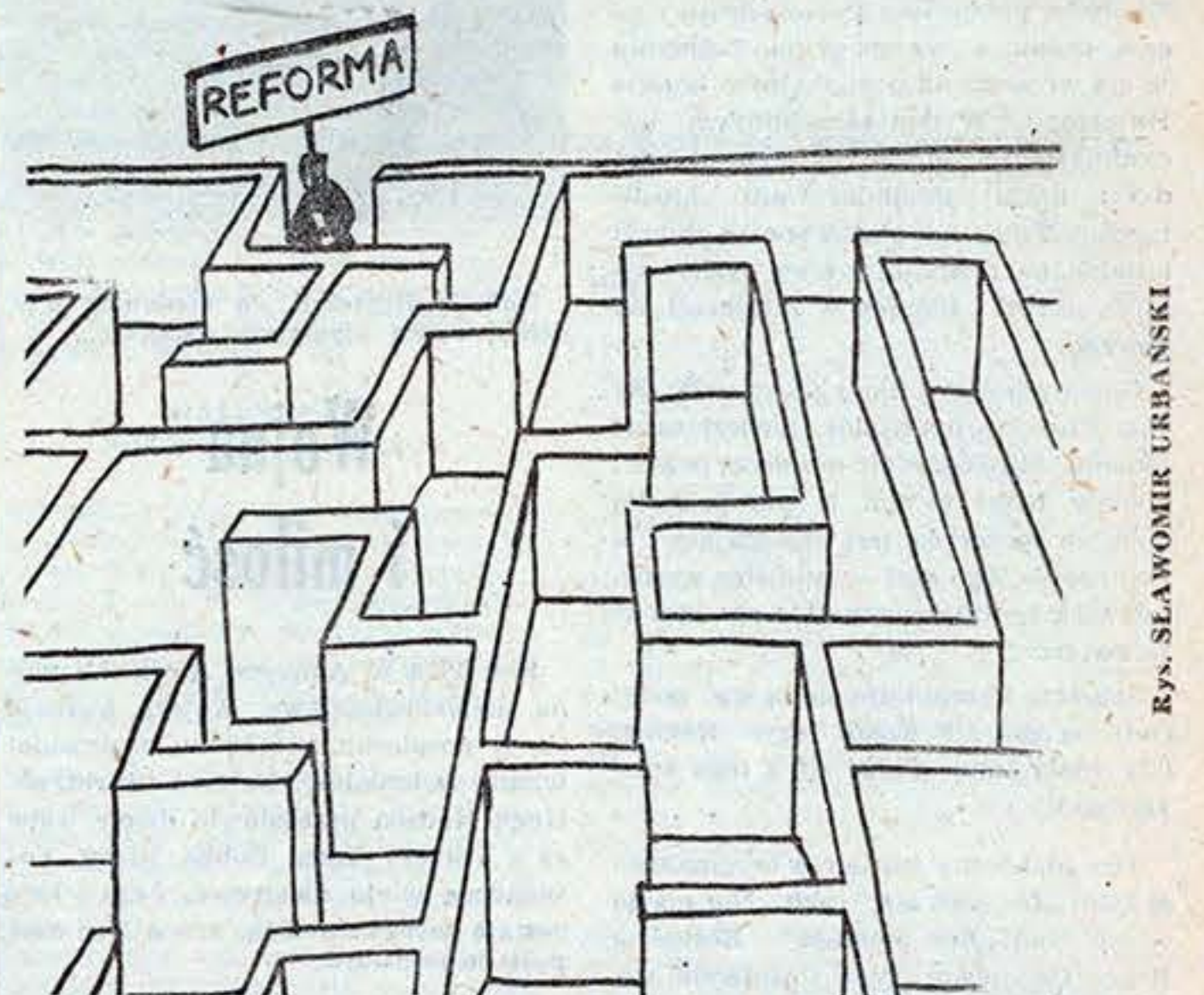
Zielonogórski Klub Szaradzystów „LABRYN”

Sposób wpisywania 8-literowych wyrazów został wskazany w diagramie. Litery z pol ponumerowanych od 1 do

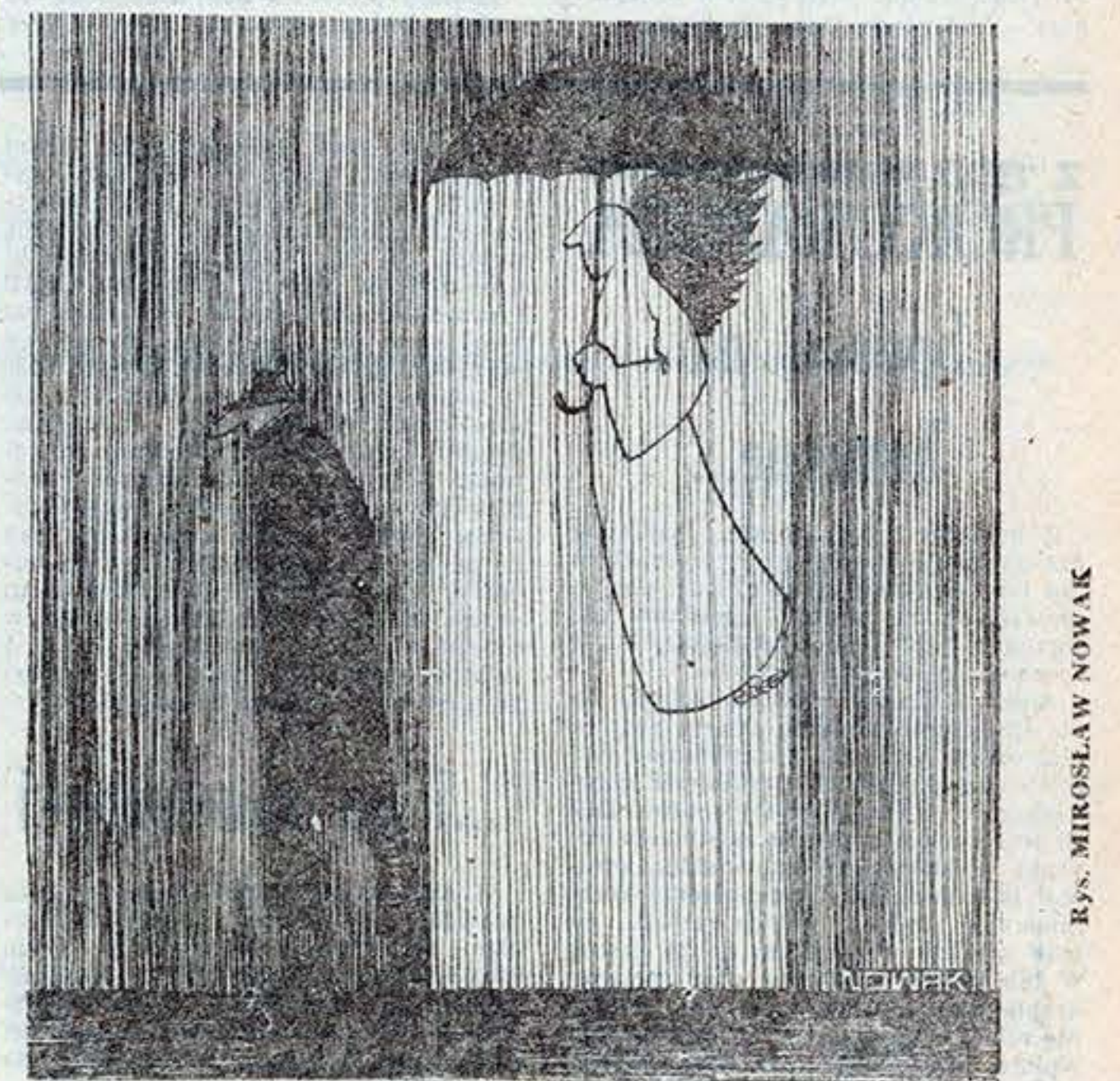
15 utworzą rozwiązanie — myśl Terencjusza — które prosimy nadesłać na adres naszej redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się pisma. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z NR 19

Hasło: „Dalej, wyżej, szybciej i celniej. Igrzyska olimpijskie w Seulu”. Książki — „500 zagadek olimpijskich” — wylosowali: Szczepan Balczewski, Modrzyce, ul. M. Konopnickiej 46, 67-106 Otyń oraz Zenon Ulatowski, ul. Ku Słońcu 2/5, 71-073 Szczecin. Gratulujemy.



RYS. SŁAWOMIR URBANSKI



RYS. MIROSŁAW NOWAK